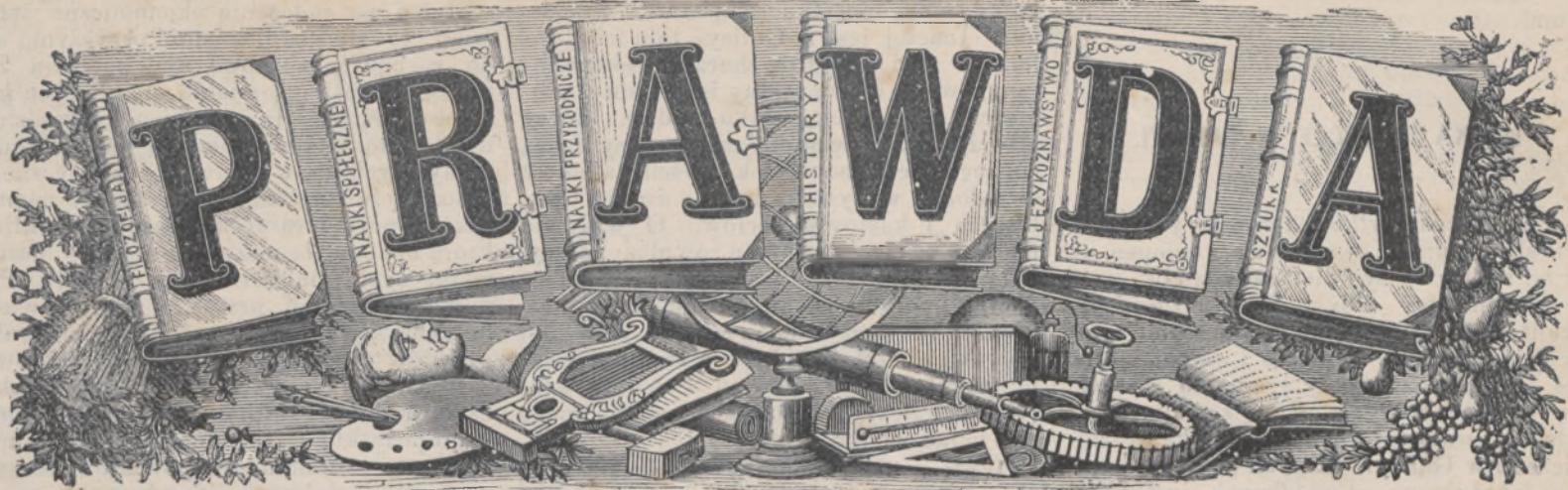




TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnikiem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Gillńskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Restauracja kościoła. — Kółka rolnicze w Galicyi p. J. P. — Aspazya dramat w 5 aktach Aleksandra Świętochowskiego (Wł. Okońskiego). — Teatry rusińskie w Galicyi p. Myrona. — Dzieło Teina p. Gnotusa. — Paradoxy I. p. Ad. J. Cohna. — Teatr p. S. K. — Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. J. Nieborskiego. — Tydzień polityczny. — Cudze głosy. — Kronika bieżąca. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Nowi abonenci **Prawdy** nabyć mogą wydane dotąd cztery zeszyty **Ekonomii politycznej** za rs. 1 k. 50, na żądanie zaś, otrzymają bezpłatnie dwa ostatnie numery z zeszłego kwartału, zawierające początek dramatu **Aspazya**.

RESTAURACJA KOŚCIOŁA.

Twarda i burzom urągająca skała, kościół katolicki — jak wszystkie skały, wie trzeje, a od czasu do czasu pęka i oblamuje się. Taką ciężką chwilę przechodzi on obecnie, chociaż na jego wierzchu widać tylko delikatne rysy.

Rozpatrzmy je.

Jeden z biskupów niemieckich wydał okólnik, polecający kandydatom do stanu duchownego, ażeby w swym kształceniu się przeszli drogę wskazaną im przez państwo, to znaczy, ażeby ulegli prawom majowym w jednym z najważniejszych punktów, o który właśnie między Rzymem a Berlinem toczy się dotąd zacięta z obu stron walka. Dostojnik kościoła zaś uznał to ustępstwo za potrzebne ze względów, które już tyle uporów złamały — ze względów pieniężnych. Mianowicie, ponieważ zarząd biskupi jest obowiązany utrzymywać młodych księży po wyjściu z seminarium, dopóki nie dostaną miejsca, a nie dostaną go bez zastosowania się do praw majowych, przeto naczelnik dycezyi, chcąc ulżyć swej kieszeni, wolał obciążyć sumienie i zawiesił miecz „kulturkampf” na kołku. Zarówno to odszczepieństwo w karnej i rozkazom ślepo posłusznej armii, jak i zbyt materyjalne do tego kroku pobudki zgorszyły świat katolicki a przed opinią

publiczną ujawniły nową rysę na odwiecznej skale.

Jednocześnie odbiły się inne. Wszystkich niewątpliwie zastanowiła gorączkowa czynność Leona XIII w ostatnich tygodniach. Listy szły za listami do pastarzy owieczek włoskich, francuskich, belgijskich, a wszystkie niosły im upomnienie i zalecały posłuszeństwo. Nawet jeden z kardynałów skazany został na wygnanie, inni dostojnicy otrzymali tajemną nagane, a w rozmaitych punktach gazety ultramontańskie zaczęły wymierać. Śmierć grasowała szczególnie wśród „nieprzejednanych.” Wkrótce też obiegła prasę pogłoska, że papież zamierza zbliżyć się do rządów, zwłaszcza zaś włoskiego, zakończyć swą rolę dobrowolnego więźnia i pogodzić się z postępem cywilizacji. Miałby on ku temu bardzo silną pokusę, jeśli posiada wrażliwość na *nervus rerum* owego biskupa niemieckiego, który schylił głowę przed prawami majowemi. Kasa bowiem papieska podobno cierpi często na braki, Francya ciągle zmniejsza swoje wydatki dla duchowieństwa, które trzeba będzie wspierać, rząd zaś włoski corocznie ofiaruje 2½ miliona franków, które nieprzyjęte wracają do kasy państwa a przydałyby się bardzo. Ponęta tedy i to bardzo wabna istnieje. Leon XIII wszakże uledej jej nie chce, czy nie może, i rozkazał natychmiast swoim organem zaprzeczyć pogłosce o mniemanem jego zbliżaniu się do rządu włoskiego. Co znaczy tedy owo karanie i duszenie żywiołów, kłócących Stolicę Apostolską z całym światem? Co znaczą nagany dla najzarliwszych podkomendnych, otwieranie bibliotek i archiwów watykańskich, zachęcanie księży do nauki świeckiej?

Papieżo posiadali często albo praktyczny rozum, albo dobry instynkt i gdy arka ich zakonu zbyt daleko pozostała za rydwanem postępu, popędzali swoje muły.

Taki rozum, czy instynkt widzimy w Leonie XIII. Uznał on, że trzeba pospieszyć za rozwojem cywilizacji, że dłuższe stanie na miejscu lub zółwi ruch groziłby kościołowi niebezpieczeństwem — dlatego usuwa i karci tych, którzy mu hamują koła, niszczy wpływ „nieprzejednanych,” którzy po za nim i na przekór jemu utrzymywali świat katolicki w stęzeniu i przeciwstawiali się wszelkim jego nowym prądom. Ubez władnienie tych żywiołów było tem konieczniejsze, że duchowieństwo katolickie — jak wspomniany biskup — słabło w walce i na swoją rękę zawierało przymierza z państwem. Papież energiczny nie mógł pozwolić na to, ażeby jedni ciągnęli go w tył, a drudzy naprzód, ażeby Kościół rozdarł się na rozmaite kierunki i nie przedstawiał tej spójności, która zawsze była jego siłą i której tyle zawdzięcza.

Z ostatnich tedy działań Leona XIII wychylają się dwa cele: chce on pchnąć katolicyzm naprzód i stłumić w nim bezrząd. Posiada on w swym arsenale watykańskim 22 armat i 6.200 bomb, co dla odzyskania władzy świeckiej i pokonania rządu włoskiego nie wystarcza; ale posiada on w swym arsenale religijnym tysiące armat i miliony bomb, któremi łatwo zdruzgocze wszelki bunt w swej armii. I biskupi politykujący na własną rękę, i kardynałowie nieprzejednani, i dzienniki ultramontańskie — wszystko to ukorzy się lub zniknie przed straszną potęgą, gdy ona ich dosięgnie. Owe więc pęknięcia skały wkrótce zostaną zalepione i tylko odpadną od niej małe okruszki, które wprawdzie zmniejszają jej ogrom i w ciągu wieków ją rozkruszą, ale na bieżącą chwilę nie stanowią dotkliwej straty. Porządek i karność do katolicyzmu wróć — bo jeszcze Leon XIII za wiole w sferze swej władzy może i chce. Złożyć ofiarę on musi, ale złoży ją na ołtarzu cywilizacji, nie zaś

w sakwy swych podwładnych. Ci, jak dawniej, słuchać go będą z pochylonemi głowami.

KÓŁKA ROLNICZE W GALICYI.

Tym razem tylko jeden mądry rozprawił się z głupim — szlachcic z chłopem — drugi mądry — żyd nie brał udziału.

Najsilniejsza płonka przesadzona na grunt jałowy, otoczona wyziewami zgnilizny i rozkładu, wiednie i usycha, albo też, jeśli pozostaje przy życiu, to rozrasta się w potworne, karłowate kształty. Tak właśnie stało się z młodemi kółkami rolniczymi w Galicyi, których pomysł i ustawę zapożyczono od podobnych instytucyj w Poznańskim i Prusach Zachodnich. W pierwszych dniach lipca odbył się w Krakowie zjazd walny przedstawicieli kółek, którego obrady pozwalają nam bliżej wejrzieć w tę sprawę.

Pierwsze kółka rolnicze związane były w Galicyi r. 1883; jednocześnie prawie powstało ich 116, w ciągu 1884 r. przybyło nowych 150, w bieżącym zaś do maja 41, razem więc jest 317, posiadających w 65 powiatach i 421 gminach—10,204 członków. Pisma nasze nazywają „pocieszającym faktem“, że członkami są nie tylko włościanie, ale również księża, nauczyciele, urzędnicy a nawet właściciele ziemscy. Pod tym względem jesteśmy wręcz przeciwnego zdania. Rozumiemy dobrze, że bez współudziału inteligencji zakładanie i organizacja kółek obejść się nie mogą, ale współudział ten powinien być ściśle określony i ograniczony. Głównem zadaniem kółek jest obrona interesów ekonomicznych klasy włościańskiej, nie mogą więc one liczyć na szczere poparcie innych warstw społeczeństwa, w którym sprzeczności klasowe już się wyraźnie zaznaczyły, dążenia rozbiegły w przeciwnych niemal kierunkach a wzajemne stosunki polegają na wyzysku jednych przez drugich. Zapewne, w gronie obywateli ziemskich znajdują się jednostki, ożywione szczerą miłością dla ludu, które działać będą dla dobra jego, z uszczerbkiem dla interesów swej warstwy a nawet osobistych, ale liczba takich prawdziwych demokratów musi być bardzo ograniczoną. Szeregi ich zwiększyć się mogą wtedy tylko, kiedy w grę wchodzi cele wyższej

natury, dążenia obchodzące ogół cały, jak to np. dzieje się w Poznańskim, gdzie kółka mają nie tylko gospodarcze znaczenie. Inaczej jest w Galicyi, tam ich działalność nosi wybitnie charakter ekonomiczny, więc też ze strony inteligencji najczęściej występują tylko ludzie, którzy albo ludzą się, że sprzeczne interesy dadzą się pogodzić z obopólną korzyścią, albo też świadomie wyzyskują lud dla swoich osobistych i kastowych celów. O wpływie moralnym nie może być również mowy. Szlachta galicyjska, która tworzy dość jednolite i zorganizowane stronnictwo polityczne, nie życzy sobie wcale, ażeby lud wiejski zdobył świadomość swego położenia i przestał być maszyną wyborczą, którą dla należytego funkcyonowania dosyć jest nalać wódkę.

Wpływ księży mógłby być pożądanym, a przynajmniej nie szkodliwym, gdyby nie ta okoliczność, że duchowieństwo galicyjskie działa zupełnie zgodnie z partją rządzącą. To samo powiedziec można o urzędnikach, zwłaszcza dziś, kiedy właśnie stronnictwo reakcyjne stoi u steru władzy i opanowało instytucje samorządu miejscowego. Najwłaściwsiymi na inteligentnych członków kółek byłiby tylko nauczycieli więcej — chociaż i ci zależni od łaski pańskiej nie posiadają samodzielności potrzebnej — i pracownicy różnych zawodów. Ale udział tych członków powinien być ściśle ograniczony i niekrępujący w niczem włościan, jeżeli kółka mają wyrobić moralną i materyalną samodzielność ludu. Tymczasem oto co widzimy w rzeczywistości.

W 270 kółkach przewodniczącymi jest 96 księży, 32 obywateli ziemskich, 23 nauczycieli, 55 urzędników i ludzi innych zajęć a tylko 64 właścicieli mniejszych posiadłości, więc nie koniecznie włościan; tak samo zastępcy i sekretarze, tylko członkami zarządu najczęściej są już chłopci.

Dotychczasowa działalność kółek była dosyć ograniczona i oprócz rozpraw na zebraniach o sprawach gospodarskich, polegała ona na kojarzeniu towarzystw zalozkowych, przystępowaniu zbiorowem do ubezpieczeń od ognia i gradu, zakładaniu sklepików (53 kółka) i czytelnicy (136, prenumerujących 603 czasopism). Zaczęto również urządzać odczyty, sprowadzać narzędzia rolnicze, wpływać na gospodarstwo gminne itd.

Jakkolwiek skromne są te początki, spodziewać się można było, że z biegiem czasu

czynności kółek przyjmą szersze rozmiary, że, jeżeli nawet nie okażą bezpośredniego wpływu na położenie ekonomiczne włościan, to chociaż pośrednio przyczynią się do rozbudzenia wśród nich poczucia łączności, do uświadomienia sobie swych potrzeb i dążeń, do wyrobienia samodzielności, która nie pozostanie bez skutków pomyslnych dla wychowania politycznego ludu. Rezultaty takie nie mogły uśmiechać się arystokratyczno-klerykalnej klicie, która opanowała wszystkie prawie postęunki życia publicznego w Galicyi. Pomimo faktycznej przewagi swej w wielu kółkach, partya ta zapragnęła utrwalić prawie swe uprzywilejowane stanowisko. Ubogie stowarzyszenia włościańskie czuły dotkliwie brak środków na cele ogólnego pożytku, udzielono więc im szczupło zapomogi z funduszy powiatowych, towarzystw rolniczych i finansowych, w zamian za co, zażądano dopuszczenia do zarządu głównego przedstawicieli tych instytucyj. W tym celu zrobiono już poprzednio pewne poprawki w statucie, dla ostatecznego zaś uświęcenia zmian zwołano zjazd walny do Krakowa, na który włościanie przybyli w bardzo małej liczbie, większość bowiem nie miała za co odbyć dalekiej podróży, ci zaś, co przyjechali, odbyli ją najczęściej na koszt pański.

Reżyserowie widowiska urządzili je z właściwą galicyanom błagą. Zgromadzonych pobłogosławił ksiądz biskup Dunajewski, po nim przemawiali prezydent Szlachetowski i profesor Zoll, dalej zabrał znowu głos ks. Pelczar itd. Dla opracowania „koniecznych zmian“ w ustawie wyznaczona została komisya, której referent, niejaki p. Olszewski przedstawił takimi mniej więcej projekt:

Aby osiągnąć poparcie wszystkich warstw społeczeństwa kółka powinny się wyrzec wszelkich ubocznych tendencyj, zwłaszcza narodowościowych. Najlepiej zapewnieniem w tym względzie jest dopuszczenie do zarządu przedstawicieli różnych instytucyj publicznych, a więc: konsystorjów, bo duchowieństwo ma najbliższą styczność z ludem i z urzędu już dąży do jego umoralnienia i poprawy (często tylko poprawy rasy); towarzystw rolniczych, bo obywatele więcej są również zbliżeni do ludu; rady szkolnej, bo dąży ona do rozszerzenia oświaty; rad powiatowych, bo to są instytucje powołane do pieczy o dobro wszystkich mieszkańców kraju, wreszcie krakowskiego towarzystwa ubezpieczeń, „które już nieraz było kółkom pomocne!“

5)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

SCENA 4.

Ciż i Fidyasz.

Fidyasz.

Zwycięstwo!

Aspazyja.

Powtórzył

Fidyasz.

Z tysiąców piersi hymn chwały Peryklesa! Lud zatwierdził budowę Partenonu i mnie ją powierzył! O piękne matry, zstępujcie ku mnie z obłoków, po których was dotąd stęskniony ścigałem! Niech mi do oczu spłyną wszystkie krople rosy dzisiejszego poranku, ażebym mógł niemi

wyplakać moją radość! W marmurowem łonie Pentelikonu spoczywa od wieków bogini Atena, którą ja stamtąd dłułem wydobędę i na Partenonie postawię.

Aspazyja (podając mu rękę).

Bądź tak wtedy genialnym, jak ja jestem teraz szczęśliwą. Anaksagorasie, zatrwóżyłeś mnie na próżno.

Anaksagoras.

Skąd mogłem się domyśleć, że Perykles okiełzna tę wścieklą burzę, która go unosiła, że dzikie wrzaski zamienia się w okrzyki jego tryumfu!

Fidyasz (do Aspazyji).

Nie dziw się Anaksagorasowi, że zwątpił, jeśli wyszedł ze zgromadzenia wtedy, kiedy po mowie Tucydidesa jego arystokratyczna banda usiłowała zepchnąć Peryklesa z trybuny. Ale lud, na chwilę zbalaamucony kłamstwami, wkrótce opamiętał się i odparł niecny zamach na swego trybuna, którego oskarżano, że chce z bogactw się przy Partenonie.

Aspazyja.

Potwarz nieodstępnie płynie za wielkim człowiekiem, jak rokin za okrętem, ciągle spodziewając się zeru.

Fidyasz.

Ugodził on tego rekina śmiertelnie. Gdybyś widziała, jak rozszarpał przeciwników dowodami, jak ich miażdżył wzgardą, jak chłostał dowiecipem, byłabyś z niego jeszcze bardziej dumna, jeżeli bardziej dumna być możesz.

Aspazyja.

Gdzież jest ten mój tytan?..

Fidyasz.

Pozostał; a mnie wysłał, ażebym cię natychmiast uwiadomił...

Aspazyja.

Co on tam jeszcze będzie robił? Czyżby... Niel!

Diotima.

Kalias przemawiał?

Fidyasz.

Tfu! Kalias jest starym mułem. Przyniósł na targ to, czem go zła baba obładowała i sądził, że dobrze sprzeda. Wysypał najrozmaitsze bzdurstwa przeciwko Peryklesowi, wreszcie oświadczył, że na jego miejscu wystawiłby Partenon własnym kosztem. Gdy zaś Perykles rzekł: ustępuję miejsca Kaliasowi — złapany w własną

Brakuje jeszcze zarządów dróg żelaznych, władz wojskowych, izb rękodzielniczych, rady lekarskiej itd., które miały takie same prawa, bo przeciw chłopom jeżdżą kolejami, służą w wojsku, kupują wyroby przemysłu i szukają porady doktorów. Wybieg błazeńsko-jezuicki nie jest bardzo logicznym, ale w rezultacie okazał się bardzo skutecznym.

Liczba tych nowych członków mianowanych według projektu przewyższać miała liczbę wybieranych, żądanie to nawet w „dobranem” gronie uczestników zjazdu wywołało oburzenie, zgodzono się więc na równą z obu stron ilość. Trzeba było jednak zabezpieczyć się na przyszłość, żeby nowe zgromadzenie nie mogło znieść tożsamości z poprzedniego. Nieliczna opozycja żądała, żeby na zgromadzenie walne każde kółko przysłać mogło jednego delegata, zaś członkowie wspierający mieli prawo głosu bez względu na wysokość składki. Wniosek ten upadł, uchwalono natomiast, że zgromadzenie ogólnie ma się składać z delegatów, wybieranych przez 5 kółek, z przedstawicieli zarządów powiatowych i członków popierających, jeżeli placą przynajmniej 4 złr. rocznie.

Niekazemna intryga obwarowała się więc należycie nie tylko na teraz, ale i na przyszłość — dalej wszystko poszło jak z płatka, wybory, mowy i wreszcie uczta z toastami. Znalazł się pod ręką niezbędny w takich wypadkach brat — rusin w świątce, wytresowany do tego stopnia, że kiedy jeden z mówców wspominał o warcholstwie, statysta zawołał: „tak, prawda, jak będziemy się warcholili, to nie nie zrobimy,” znalazł się i przedstawiciel tej wyrodnej młodzieży, pełnej służalstwa, potem „kochajmy się bracia” i wreszcie wyprawienie do domu tych niepotrzebnych już młodszych braci.

Nowy to tryumf stańczyków, donioślejszy jeszcze aniżeli świeżo opanowanie towarzystwa oświaty ludowej. Gdyby demokracja galicyjska była energiczniejszą i rozumniejszą, można by było żywić nadzieję, że wytrwała praca postorunki stracono odzyska. Ale kto zna rzeczywistą stronę stosunków tej prowincji — ludzi się nie może. Niejednokrotnie więc jeszcze zapisywać będziemy zwycięstwa polityki wstecznicstwa, wyzysku i społecznego oszustwa, aż póki ta gospodarka fałszu i niecnoty nie skończy się ogólnym, krwawym krachem. Zwolennicy „tradycji” pamiętać powinni, że zgnębiony chłop galicyjski posiada róż-

nież swoje *tradycje*, chociaż niedawnej daty, których bodajby sobie kiedyś nie przypomnieli.

J. P.

TEATRY RUSIŃSKIE W GALICYI.

Pierwszych zaczątków przedstawień teatralnych rusińskich w Galicyi szukać należy prawie współcześnie z pierwszym rozbudzeniem się ludowej literatury przy końcu czwartego lat dziesiątka — w gr. k. seminaryum duchownem. W roku, jeżeli się nie myli, 1839 lub też 1840 rektorem tego seminaryum został człowiek, którego imię niezatartymi głoskami jest zapisane w historii narodowego odrodzenia Rusi halickiej — ks. Grzegorz Jachimowicz. Mieściło ono w sobie wówczas najlepsze siły umysłowe, najwybitniejszych przedstawicieli rusińskiego odrodzenia. Stąd właśnie wyszli: Szaszkiewicz i Wagilewicz, byli jeszcze Hołowacki, Mogilnicki, Kozanowicz, Moch, Ustjanowicz, Szuchiewicz, Skomorowski i wielu innych, co potem mniej lub więcej wybitnie zajęli stanowiska. Było między nimi kilka nieposłednich talentów aktorskich, które wśród ciasnych murów gwałtem rwały się na widownię publiczną. Osobliwie odznaczyli się Moch, Kaszubinski i Twardyjewicz. Talent ich, ścięśniony surową seminaryjną, prawie klasztorną karnością, przejawiał się tylko okolicznościowo, w improwizowanych dyalogach charakterystycznych, które po prostu w zachwyt wprawiały całe seminaryum i stawały się trzęsioną rozmową na całe tygodnie. Lecz dawniejszemu rektorowi, ks. Tylichowskiemu i tego było za dużo, to też starał się ile możliwości i w tym względzie kępować alumnów. Dopiero gdy na godność tę mianowano Jachimowicza, człowieka z nieposłedniem świeckiem wykształceniem (obok doktora teologii był także doktorem filozofii), zabłysły piękniejsze chwile. Nietylko bowiem nie zabraniał takiej niewinnej rozrywki, jak owe improwizowane dyalogi (np. między chłopem i żydem, między handlarzem i chłopem na targu itp.), ale dał ze swej strony pobudkę do urządzania istotnych przedstawień teatralnych. Grano sztuki przeważnie polskie, gdyż i mową towarzyską w seminaryum, jakoteż na kazalnicy była polska. Lecz wkrótce wpadł ktoś na

pomysł przedstawić w żywych typach i obrazach ludowe wesele rusińskie z jego niezliczonymi obrzędami i cudnymi pieśniami. Widowisko to wywarło bardzo silne wrażenie na młodych alumnów, chociaż to była bodaj czy nie ostatnia próba teatru w seminaryum. Po dwulotnim rektoracie Jachimowicz ustąpił, powołany na wyższe dostojęstwa kościelne, a razem z nim ustąpił także ów swobodniejszy, liberalny duch z seminaryjnych murów, a dawne prześladowania za palenie fajki i „przebieranie się” zmartwychwstały.

Lecz krótka ta jaśniejsza chwila w dziejach gr. k. seminaryum nie przeszła bez śladu dla rusińskiej literatury i teatru. Jeden z jego najgorętszych uczestników, Rudolf Moch, opuściwszy szkołę i zostawszy wiejskim plebanem, napisał i wydał (1848) pierwszą próbę rusińskiej komedii, p. t. *Sprawa w seli Klekotyni*. Nie jest to wcale utwór dramatyczny, prawidłowo zbudowany i dla teatru przeznaczony, lecz raczej dyalogowana historia jednego dnia we wsi galicyjskiej za czasów pańszczyzny. Niema tu podziału na akty i sceny, rzecz cała dzieje się w karczmarce, lecz mimo to ruchu dosyć, dyalog bardzo zwawy i dowcipny, maluje dobitnie życie, poglądy i cierpienia wiejskiego ludu w Galicyi z tego okresu. Jak w kalejdoskopie, przesuwają się tu przed naszymi oczami liczne postacie wiejskich bab, wójta, żydów, żołnierzy, a wszystkie schwycone bardzo dobrze i oddane z rubaszną nieraz, ale zawsze realistyczną prawdą. Dodać do tego jeszcze należy, że wiersz jedyny, pełen zwrotów ludowych i jak na owe czasy gładki i wyrobiony. Czy był ten utwór kiedykolwiek wystawiany na scenę, na co i teraz jeszcze ze wszelkich miar zasługuje i do czego by, po dokonaniu pewnych zmian, wcale dobrze mógł być przykrojony — o tem nie mamy żadnych wiadomości.

Drugi uczestnik teatru seminaryjnego, Celestyn Skomorowski, prawie w tymże czasie pracował nad tłumaczeniem z rosyjskiego tragedii Chomiakowa *Jermak*, która wydrukowana została w r. 1849. W tymże roku pojawił się i trzeci rusiński utwór dramatyczny *Kozak i ochotnyk*, jakiegoś Aitalewicza; jest to wodewil, przerebiony, zdaje się, z francuskiego. Do tego samego rzędu utworów należy też pomieszczona w czasopiśmie *Pezola* 1849 roku przeróbka komedii Moliera *George Dandin*, zastosowana do życia rusińsko-galicyjskiego, przez głośnego później ks. Nau-

pętlę bogacz zaczął z niej głowę wyciągać. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiają się obok niego trzy koty...

Diotima.

Tylko trzy!..

Fidyasz.

Eurypides, spostrzegłszy je, zawołał: Kalias nie może zbudować Partenonu, bo ma przecież te dzieci! Zerwał się uragan śmiechu i zmiotł zawstydzonego Kaliasa, którego Perykles dobił słowami: obywatelu, on chciał być poważnym!

Diotima.

Kto teraz powie, że nie przyczyniłam się do wzniesienia Partenonu?

Aspazyja.

Zapewne...

Fidyasz.

Czem?

Diotima.

Koty były moje.

Aspazyja.

Uczcijmy wszakże tę zasługę tylko między sobą.

Diotima.

Przeciwnie, sama ją obeślę po całych Atonach.

Aspazyja

Bez potrzeby i bez celu.

Filezyja.

Nie wyzywaj odwetu.

Teora.

Zwłaszcza, że Elpinika powodów do niego szuka.

Leja.

Ona przywiąże się jak klekotka do szyi swego muła i rozgłosi jego krzywdę a twoją niegodziwość.

Fidyasz.

I zaszkodzi wygranej sprawie.

Diotima.

Śmieszności lękają się nawet bogowie a wy nie chcecie jej użyć przeciwko ludzom? Wyrzucacie je ze swych koleżanów najostrzejszy grot? Wyrzucicie raczej mądrość, uczciwość, odwagę, bo one w walce częściej zawodzą! Oskubany przez was ze zwodnych pozorów głupiec, łotr, lub tchórz opierzy się na nowo, jeśli go wy-

puścicie z rąk skrwawionym a nie śmieszny. Wszystkie piętna dadzą się zmyć lub pozłocić: bogaty dzieciobójca może zostać opiekunem sierot, ale nikt nie wypłubi publicznie kubka miodu z Homerem, pomalowanym na niebiesko. Własna żona nie pozwoli dziś Kaliasowi rozpleść sobie włosów, a jutro go może zdradzi. Moje koty dokazały tego, czego nie dokazałyby nigdy Peryklesa wymowa.

Aspazyja.

I w to uwierzę, abyś tylko ten wypadek zachowała w tajemnicy.

Diotima.

Ani myślę.

Aspazyja.

Dmuchasz w gorący popiół, który ci niewątpliwie oczy zasypie i poparzy. Nie jesteś obywatelką ateńską; gdy Elpinika poruszy swe stosunki i wpływy, sponiewierają cię i wygonią jak szkodną kunę. Nie ludź się siłą demokracji, która dotąd jeszcze działa po za ustawami. Tu cudzoziemkom wolno zaledwie tyle, co straconym z drzewa przez wiatr szyszkom: kurczyć się w deszcz i rozszerzać w pogodę, a zawsze oczekiwać tego, że czyjaś noga po nich przejdzie.

mowicza, p. t. *Hryć Maznycia*, ciekawa zwłaszcza z tego względu, że między pojedyncze akty autor powstawał swoje własne liryczno-dramatyczne intermezja. Rozumie się, że żadna z tych prac właściwej sceny nie ujrzała.

A przecież rok 1848 i na tem polu zaznaczył się wybitnie. W tym roku bowiem odbyło się pierwsze publiczne przedstawienie teatralne rusińskie w Kołomyi. Grono amatorów przedstawiło nieśmiertelną *Natalkę Poltawkę* Kotlarowskiego. Zachwycona publiczność, złożona, jak wówczas pogardliwie się wyrażano, z samych „popów i chłopów“, za każdą scenę obsypywała aktorów nieskończonymi oklaskami, a gdy przedstawienie się skończyło, gwałtem zażądała widzieć autora, nie wiedząc o tem, że on od lat kilkunastu już nie żył. Gdy pomimo tłumaczeń niektórych ludzi, oklaski i wywoływania autora nie ustawały, wystąpił wreszcie jeden z aktorów, chcąc wytłumaczyć kłopotliwe położenie; lecz publiczność nie dała mu przyjść do słowa — musiał przyjąć te hołdy, które były przeznaczone dla nieboszczyka Kotlarowskiego.

W piątym lat dziesiątku, po części z powodu rządowej reakcyi, a po części i z winy samych prowodyrów życie narodowe i umysłowe Rusi halickiej przycichło, zapadło w letarg. Wydawane od r. 1848 do 1859 czasopismo *Zorja halicka* już od 1850 roku zaczęło zbacać z tej żywej, ludowej drogi, na jaką początkowo weszło i stało się coraz więcej martwem. O teatrze, jak i wogóle o wszelkim ruchu narodowym, nikt nie myślał. *Zorja halicka* przedrukowywała nad wyraz lichy roboty rosyjskie jakichś autorów z pod ciemnej gwiazdy; jedynym nieco żywszym przebłyskiem z owych czasów jest komedia Bazylego Kowalskiego (dzisiejszego posła) p. t. *Pjanycia*, osnuta na Szekspirowskim motywie: o przeniesieniu śpiącego w rowie pijaka do pańskiego pałacu i pokazaniu mu tam życia, zupełnie obalającego dotychczasowe jego poglądy i przyzwyczajenia. Lecz i o tej, dość żywo i czystym ludowym językiem napisanej sztuce nie wiemy, czy była kiedykolwiek wprowadzona na scenę.

O stałym, regularnym teatrze rusińskim w Galicyi zaczęto mówić dopiero wówczas, kiedy z przypływem świeżych fal ukrajinofilstwa z zakordonu i z równoczesnym nadaniem konstytucyi — tętno życia narodowego rusinów silniej i szybciej zażyło. W r. 1862 zawiązało się we Lwo-

wie pod przewodnictwem posła i wicemarszałka krajowego, Ławrowskiego, towarzystwo „Ruska Besida“, które pierwotnie postawiło sobie za cel — urządzać deklamatorskie wieczorki, bale i towarzyskie zabawy. Lecz już na jednym z pierwszych zebrań przedstawił Ławrowski zgromadzonemu członkom projekt założenia teatru rusińskiego. Myśl tę przyjęto z zapalem; Ławrowski wystarał się u rządu o pozwolenie zbierania składek po całym kraju, i sam na pierwszy początek ofiarował znaczną sumę na utworzenie „funduszu teatralnego“, zostającego pod zarządem tejże „Ruskiej Besidy“. Ofiary „od popów i chłopów“ zaczęły płynąć dość obficie; wydział „Ruskiej Besidy“ wystarał się u zarządu „Narodowego Domu“ o bezpłatną salę, gdzie też urządzono pierwszą prawidłową scenę rusińską. Sprawdzono z zagranicy, (zda się — że z Żytomierza) wykształconego i zdolnego artystę dramatycznego, Emila Baczyńskiego, któremu powierzono kierunek i reżyserję teatru. Baczyński wraz ze swoją żoną, również niepoślednio utalentowaną artystką dramatyczną, byli z początku jedynymi zawodowymi aktorami tej początkującej sceny; wszystko inne role grane były przez amatorów, członków samejże „Besidy“, przeważnie studentów lwowskiego uniwersytetu.

Porobiwszy takie przygotowania, „Ruska Besida“ podała do namiestnictwa lwowskiego prośbę o pozwolenie założenia stałego teatru rusińskiego. Odpowiedź przyszła odmowna: namiestnictwo orzekło, że takie pozwolenie może być udzielonem tylko za zgodą samego monarchy. Widząc niemożność uzyskania takiej zgody, „Besida“ wyprosiła jedynie koncesyę na urządzenie — w nieznaczonych terminach — 40 przedstawień rusińskich, z tym jednakże warunkiem, że 10% z dochodu brutto będzie płacone do kasy lwowskiego teatru niemieckiego z mocy rządowego przywileju.

Wreszcie w marcu 1864 r. Lwów doczekał się pierwszego przedstawienia rusińskiego. Przy wielkim zjeździe rusinów z całego kraju odkryto teatr stosownym „Prologiem“ i następnie odegrano melodramat *Marusia*, osnuty na tle ślicznej powieści Kwitki-Osnowjanenka, wydanej pod tym samym tytułem.

Parę miesięcy dawał ten teatr widowiska we Lwowie pod dyrekcją Baczyńskiego; następnie zebrała się mała trupa i pojechała na prowincję, do Stanisławowa, Kołomyi i Czerniowca. Repertuar jej

był nieobfity, składały go przedewszystkiem utwory ludowe pisarzy ukraińskich, jak: *Natalka Kotlarowskiego*, *Swatanie na Honezariwci* Kwitki, *Nazar Stodola* Szewczenki, a obok nich świeżo powstałe na galicyjskim gruncie komedye ze śpiewami, jak *Pidhirjane* Huszalewicza, z muzyką Werbieckiego. Bardzo pilnie zajął się teatrem rusińskim między innymi Pawło Swij, polak — emigrant z Ukrainy, pełniący obowiązki nauczyciela gimnazjalnego we Lwowie, znany też w polskiej literaturze pod nazwiskiem Paulina Stachurskiego, a którego właściwe nazwisko było Paulin Świeciecki. Był to człowiek wielkich zdolności, pałający prawdziwą miłością do Ukrainy, doskonale władający mową jej ludu, świadom jego zwyczajów i dziejów. Wydał on we Lwowie tomik dowcipnych bajek dla dzieci, które dotychczas miały cztery wydania i rozeszły się, co najmniej, w 10,000 egzemplarzy. On to przerobił dla rusińskiego teatru powtórnie Molierowego *George Dandina* p. t. *Hawryło Bambula*, udratyzował Szewczenki *Katerynę* i wziął się nawet do przekładu Szekspirowskiego *Hamleta* na mowę chłopów podolskich. Młodzieńcki teatr ruski stawał się swolna ogniskiem, grupującym około siebie pracę najzdolniejszych ludzi z młodszego i starszego pokolenia. Ze starszych wymienić trzeba osobliwie kompozytorów, księży Wierbieckiego i Ławrowskiego, których piękne, na motywach pieśni ludowych osnute utwory żyją do dziś. Ks. Huszalewicz prócz *Pidhirjan* napisał dramat na tło sporów serwitutowych p. t. *Selski plenipotenty*, który jednakże pomimo ładnej muzyki nie utrzymał się na scenie. Z młodszych, prócz wymienionego już Świecieckiego, pracowali dla teatru Ksenofont Klimkowicz, wydając w swojej *Czytani* przekłady rosyjskich dramatów Kwitki: *Szelmenko najmyt* i *Szelmenko wolostnyj pysar*, dalej Ostap Lewicki, dostarczając wybornych tłumaczeń z niemieckiego. Zrosztą i między samymi aktorami było dosyć ludzi zdolnych i wykształconych, którzy w miarę wzrostu sił starali się także dopełniać braki repertuaru, tłumacząc takie sztuki, jak *Rewizor* i *Żenyt ba Hohola*, *Naszi selane* Sardou itp. Z tych cichych, ale zasłużonych pracowników wymienić należy Steczyńskiego, Gembickiego, Natorskiego. Żeby zaś zadość uczynić muzycznym potrzebom publiczności, przerabiano obce opery na melodramaty, i w takiej, chociaż może barbarzyńskiej, lecz koniecznością i siłami trupy podyktowanej for-

Diotima.

Sama powiedziałaś, że żyjemy w okresie panowania kobiet.

Aspazyja.

Ostrożnych i roztropnych. Śmiałym zapewniono przywileje i swobodę, ale pod warunkiem, że będą ładacznkami.

Diotima.

Puste strachy! Co znowu, czy po to przyjechałam do Aten, ażeby być w nich mądrą i unikającą światła dziennego sową? Ja pragnę używać życia pospiesznie, nie wstrzemięźliwie, wesoło, bo jego nie długo się przerwie.

Aspazyja (smutnie).

Tracę w tobie przyjaciółkę, pomocnicę... Trudno, nie chcesz iść ze mną, leć z wichelem.

Diotima.

Nie odpędzaj mnie, już zwijam skrzydła.

Aspazyja (całując ją).

Całe szczęście, żeś dobra. Anaksagorasie, zamianowałyśmy cię na bardzo zaszczytny urząd.

Anaksagoras.

Jaki?

Aspazyja.

Opiekuna przytulku dla dziewczynek niewolniczych. Zamierzamy wykupywać te przysmaki mężkie.

Anaksagoras.

Najgorszy wybór! Dajcie pokój niezdarzo, który ledwie umie opiekować się sobą i własnem dzieckiem.

Aspazyja.

Żądamy tylko, ażebyś nas sobą zastąpił przed areopagiem i nigdy się nie wyparł, że to zakład twój.

Anaksagoras.

To moich zdolności nie przechodzi. Zdobę dla ciebie jeszcze na coś więcej: poproszę Tucydidesa, który obecnie przewodniczy arystokratom nie tylko w polityce, ale i w spożywaniu owych przysmaków, ażeby poparł nasze przedsięwzięcie. Szczyć się bowiem, że ma najpiękniejsze w Atenach niewolnice. Darował nawet mojemu synkowi dorodną mamkę. (wchodzi Sofokles i Eurypides).

SCENA 5.

Ciż, Sofokles i Eurypides.

Sofokles.

Życzymy wam i sobie więcej dni takich.

Eurypides.

Do tego domu szczęście się wprowadza...

Sofokles.

Od dziś służba publiczna, a dla biednych nadto bilety do teatru będą przez państwo opłacane. Lud teraz może kształcić się piastować wszystkie urzędy.

Aspazyja.

O niezapomniany dniu! Gdzież Perykles?

Sofokles.

Układa się z posłami kilku miast, którzy przybyli dla zawarcia przymierzy i uznania zwierzchnictwa Aton. Nam polecił zanieść ci radosną wiadomość.

Aspazyja.

Promieniem słońca wypisałam ją na sklepieniu niebios, ażeby zabłysła całemu światu.

Fidyasz (który rysuje, często spoglądając na Aspazyję, do siebie półgłosem).

Wspaniałe linije!

Sofokles.

Pierwszy popis ich wodza nie udał się. Tucydides poczuł, że nie jest Cymonem.

mie przedstawiono *Halke* Moninszki, *Prezioę* Webera. Lecz sztuki z życia miejscowego ludu ruskiego stanowiły zawsze główny magnes tego teatru i dlatego starano się obce komedye i dramaty przerabiać i przystosowywać. Tak powstawały melodramaty *Ukrainci*, *Bajki* itp., których główna wartość spoczywa w muzyce, wystawie strojów i typów ludowych. Zaledwie potrzeba dodawać, że skwapliwie brano i z obcych literatur, osobiście z polskiej, te sztuki, które osnuto były na życiu ludu, że więc przedewszystkiem Korzeniowskiego dramaty *Karpaccy górale* (w przeróbce Mikołaja Ustjanowicza p. t. *Werchowyni*), *Zydzi* i *Cyganie* stały się w rusińskiej szacie i z rusińskiej sceny bodaj czy nie bardziej popularnemi, niż w oryginale. ✓

Od 1864 do 1867 roku dawał teatr rusiński przedstawienia po wszystkich prawie znacniejszych miastach wschodniej Galicyi. Trupa wzmacniała się coraz nowemi siłami, przedsięwzięcie przynosiło p. Baczyńskiemu znaczny dochód, lecz przez jego niedbalstwo i złe postępowanie z aktorami zaczęło powoli rozpręgać się i upadać, tak że jesienią 1867 r. p. Baczyński z rozbitkami wyjechał do Kamieńca podolskiego, zostawiając haliicką Ruś bez żadnego teatru. Dopiero w marcu 1869 powrócił jeden ze zdolniejszych aktorów tej trupy, p. Mołencki, i przy pomocy „Ruskiej Besidy“ założył nowy teatr rusiński, który rozpoczął swoje przedstawienia w Przemyśle z wielkiem powodzeniem. Mołencki zawarł kontrakt z „Ruską Besidą“, mocą którego zobowiązywał się co roku w jesieni dawać kilkanaście widowisk we Lwowie. Przedtem jeszcze, za staraniem głównie wicemarszałka Ławrowskiego, sejm przeznaczył na teatr ruski w Galicyi stałą roczną zapomogę 4,000 złr. Lecz gdy Mołencki 1869 roku przybył do Lwowa i rozpoczął przedstawienia, gazety polskie napadły na niego, upatrując „propagandę“ itp., co spowodowało wydział krajowy do utworzenia „komitetu nadzorczego“, nad teatrem rusińskim. Rozumie się, że nie znalazłszy niczego, co by potwierdzało tę napaść dzienników, komitet ów, zdawszy wydziałowi przychylnę sprawozdanie o stanie i kierunku rusińskiej sceny, rozwiązał się.

W styczniu 1870 r. wyjechał teatr Mołenckiego, znowu na prowincję, a w rok później wrócił też z Rosyi Baczyński ze swoją trupą. Tak więc galicyjska Ruś miała odtąd dwa wędrowne teatry, z któ-

rych jeden zostający pod zarządem „Ruskiej Besidy“, pobiera krajową zapomogę, drugi zaś trzyma się prywatnie. Baczyński, człowiek praktyczny i przemysłny, podróżuje po małych i większych miasteczkach, daje przedstawienia w języku ruskim i polskim, zajeżdża też nieraz i w zachodnie powiaty galicyjskie. W r. 1872 i 73 pracował też i piszący te słowa, wówczas jeszcze uczeń drohobyskiego gimnazjum, dla teatru p. Baczyńskiego, tłumacząc *Marnotrawcę* Reimunda, przerabiając *Piękną Helenę* na melodramat, i drugą operę *Majtkowie w przystani* na operetkę, poprawiając dawniejsze „samorodne“ tłumaczenia i wreszcie przekładając *Uriela Akostę* Gutzkowa, który jednakowoż nie ujrzał dotychczas światła kiniekietów. P. Baczyński podróżuje dotychczas po Galicyi. Główną podporą jego trupy są: komik Gembicki, polak rodem, i pani Baczyńska, żona dyrektora.

Teatr Mołenckiego przez jakiś czas wytrwale dotrzymywał placu Baczyńskiemu, lecz po kilku latach, z powodu słabości swego kierownika, doszedł prawie do upadku. Baczyński na nowo zawarł kontrakt z „Ruską Besidą“ i korzystał z zapomogi krajowej, trupa zaś Mołenckiego, pod dyrekcją pani Romanowicz, wyjechała do Rosyi. Lecz kontrakt Baczyńskiego z „Besidą“ nie trwał długo; po powrocie pani Romanowicz „Besida“ powierzyła jej zorganizowanie nowej trupy i dyrekcją „ruskiego narodowego teatru“, które to stanowisko ta energiczna i wiele zasłużona kobieta kilka lat ku powszechnemu zadowoleniu zajmowała. Gdy wreszcie, wyszedłszy za mąż, usunęła się od teatru ze swą siostrą, objęli kierownictwo trupy panowie Biberowicz i Hryniewiecki, którzy też do dziś ją prowadzą.

Teatr rusiński panów Hryniewieckiego i Biberowicza w obecnym stanie, śmiało może się równać z najlepszymi prowincjonalnymi, jakie kiedykolwiek u nas były. Reżyserem jest p. Hryniewiecki, człowiek nie tylko utalentowany, ale nadto posiadający wcale poważne ukształcenie. Dzięki też jemu, każda sztuka pojawia się dobrze wystudyowana i starannie wykonana, co z pochwałą podnosi nawet lwowska prasa polska, która ostatnimi czasy, przyczyną to trzeba, nigdy już nie występowała wrogo przeciw żadnemu z rusińskich teatrów. Dekoracye, chociaż nie bardzo obfite i świetne, wystarczają aż nadto dla małej sceny i niewybrednej publiczności prowincjonalnej; kostiumy, osobiście

ludowe, przeważnie bardzo dobre i wierne; mowa czysta i poprawna, nie wyłączając i akcentu, który każdemu nie rusinowi zwykle bardzo wielkie czyni trudności. Uznał te zasługi i sejm krajowy, podwyższając przed rokiem zapomogę o 1,000 złr.

Repertuar tego teatru, osobiście wobec ubogiej ilościowo i jakościowo rusińskiej literatury książkowej, można nazwać wcale bogatym. Najwybitniejsze miejsce zajmują w nim bezsprzecznie oryginalne dramaty historyczne, a mianowicie *Oleg* i *Jaropołk* Kornela Ustjanowicza, *Fed'ko Ostrożskij* ks. Ogonowskiego i *Nastusia* ks. Ilnickiego. Osobiście dwa pierwsze odznaczają się niepospolitą siłą dykcji i zręcznym układem scenicznym. Dalej idą komedye ludowe ze śpiewkami; w tym dziale najwięcej pracuje ks. Izidor Worobkiewicz, bukowiński poeta i kompozytor, znany w rusińskiej literaturze pod pseudonimem Danyła Młaski. Wielkiem powodzeniem cieszą się jego sztuki ludowe *Hnat Prybluda* i *Uboha Marta*; mniej zadowolnił krytykę *Pan mandator*; w jednoaktowych zaś dowcipnych operetkach *Janos Irtenhazy* i *Złoty mops* sprobował autor dać obrazki z życia różnobarwnej inteligencji bukowińskiej. Obok Worobkiewicza pracuje na tem polu także p. Mydlowski, riegdyś zdolny aktor, obecnie adjunkt sądowy; którego melodramat ludowy *Kapral Tymko* z muzyką młodego kompozytora ks. Wiktora Matiuka należy do najudatniejszych ozdób rusińskiej sceny ludowej. Wreszcie na wspomnienie zasługuje próba oryginalnej opery p. t. *Olesia*, do której libretto i muzykę utworzył ks. Bazański, a która, chociaż przez publiczność dość chłodno przyjęta, godna uwagi.

Dramatem na pół historycznym jest *Dowbusz*, utwór cenionego poety i nowelisty bukowińskiego Jerzego Fed'kowicza, kilka razy dotychczas wystawiany i zawsze sympatycznie przez publiczność przyjmowany pomimo nienaturalności głównych postaci. Obecnie Fed'kowicz napisał nowy dramat *Strilanyj chrest*.

Wreszcie wspomnieć trzeba i o trzech oryginalnych komediach p. Ceglińskiego (1883 i 1884), poczerpniętych z życia miejskiego, urzędniczego, a więc poniekąd dosyć obcego jeszcze społeczeństwu rusińskiemu. Fabuła we wszystkich trzech komediach jest bardzo pospolita, setki razy przeżywana, charaktery codzienne, płytkie; z umysłu blade rysowane; lecz wszystkie te usterki okupuje nadzwyczaj udatna budowa sceniczna, żywy dyalog,

Eurypides.

Nawet przy pomocy Hermipa. I ten kiep składał także pierwszy egzamin swojego służalstwa. Niedawno jeszcze widziałem go w gwałtownym napadzie demokracji, którym swędził jak przypieczony korrek — i oto dziś już mówił bardzo biegle o prawach szlachetnej krwi, o powinowactwie starych rodów z bogami, o przeznaczeniu ludzi, o szkodliwości dopuszczania klas niższych na stanowiska wyższe — słowem paplał tak, jak gdyby jego ojciec z Apolinem umizgał się do Dafny a on był owocem tych zalotów. Obok mnie stał pewien czeigodny obywatel, wielce ojczyźnie zasłużony, bo pod Tanagrą, licząc na pobożniaku poległych, ścigał im pierścionki — ten najzapamiętałej potakiwał Hermipowi.

Sofokles.

Ale też posiekał go Protagoras, który bronił wniosków Peryklesa z całą swoją sztuką.

Fidyasz (j. w.).

Protagoras? On i to umie?

Aspazya.

Czemu z wami nie przyszedł?

Sofokles.

Obiecał przyprowadzić jakiegoś młodziutkiego filozofa, którego nazywa zrenicą Aten.

Anaksagoras.

Imię tego młodzieńca?

Sofokles.

Sokrates.

Anaksagoras.

Słyszałem o nim.

Fidyasz.

Szpetny jak muza Hermipa.

Eurypides.

Ale można się w nim przejrzeć, jak w najczystszej zwierciadło.

Aspazya.

Ten Hermip, który kilkakrotnie przez różne osoby do drzwi naszych pukał i zawsze je znajdował zamknięte, bardzo mi się teraz podoba, bo przypuszczam, że będzie trapił arystokratów swojemi komediami. Czytałam jedną: miała smak wody po wymoczonych gałązkach jaśminu. Słaba woń czyniła ją jeszcze bardziej mdłą.

Eurypides.

O, smak jego utworów niezawodnie się poprawi: przejdą one zapachem pieczenia, które autor na pańskich stołach zjada. Bez talentu a za pieniądze trudno opisać drobną muszlę, ale łatwo opluć piramidę. Najmota zaś literacki nie jest obowiązany wyćiskać dla swych panów miłość z serca, lecz dla ich przeciwników żółć z wątroby. Arystokraci nabywli Hermipa niepo to, ażeby ich sławił, lecz nas znieważał. Na to każdego stać.

Sofokles.

Naturalnie, on jednak ma istotny talent.

Eurypides.

W giętym karku.

Aspazya.

Obchodzimy dziś wielkie święto — nie mówmy więc o takim mizernym komarze: niech im brzęczy a nas kąsa. Hermip nie Eschyles.

Sofokles.

A któżby śmiał ich zestawiać! Eschylesa nie zastąpi nikt.

Eurypides.

Nawet ty Sofoklesie?

dowcip i obfitość iście zabawnych sytuacji. Niema tam ani delikatnego cieniowania charakterów, ani głębszego wnikięcia w ich psychologię i stanowisko społeczne, lecz jest to—co dla publiczności ze słabo rozwiniętym smakiem estetycznym bodaj czy nie ważniejsze—lekka, żywa i przejrzysta akcja, dosadne wyśmianie niektórych, wcale zresztą nie głębokich wad i dowcipne a dobitne wypowiedzenie niektórych, również zresztą nie niebotycznych prawd. Z tem wszystkiem w p. Ceglińskim zyskuje rusińska scena wcale pożytecznego pracownika, który tem trwalszy wpływ powinien na nią wywrzeć, ile że jako członek „Ruskiej Besidy“ ma sobie właśnie powierzony referat teatralny.

Z tłumaczonych lub przyswojonych obcych utworów dramatycznych wymieniamy przede wszystkim nieśmiertelną komedję Hohola *Rewizor*. Z rosyjskich dramatów nowszej szkoły jedna tylko *Burza Ostrowskiego* grana była parę razy, lecz doznała dosyć chłodnego przyjęcia.

Daleko więcej polskich utworów dramatycznych trzyma się i na rusińskiej scenie. Wspomniałem już o pracach Korzeniowskiego; obok niego zasługują na wspomnienie i *Chłopi arystokracji* Anczyca. W gruntownej przeróbce utrzymuje się też *Czartowska ława*, dramat Anzengruber'a przerobiony z niemieckiego przez Galasiewicza, a z polskiego przeniesiony w uroczą krainę Huculów. Z polskich sztuk salonowych osobliwie komedję Bałuckiego *Gęsi i gąski* i *Grube ryby* cieszą się niemałym powodzeniem.

Myron.

Dzieło Taine'a *).

Filozofowie za pomocą swych pism i wywodów byli prawdziwymi twórcami wielkiej francuskiej rewolucji; filozof bada robotę swych poprzedników, i na podstawie prawdziwie okropnych dokumentów, pokazuje zdumionemu światu całą maszynę, która wylała tyle krwi i kosztowała tyle tysięcy ofiar.

Taine bez wątpienia jest najznakomitszym pisarzem tych czasów, pierwszym przez siłę logiki, dosadność i malowniczość

stylu, śmiałość myśli i wytrwałość w pracy. Czwarty tom wielkiego dzieła *Początki współczesnej Francji* nosi tytuł: *Le Gouvernement revolutionnaire* i jest właściwie historią teroryzmu. Pospęny charakter wyobraźni autora oddaje świetnie tragiczność tych krwawych dni. Jak we śnie po użyciu opium, widzimy zbrojeckie postacie morderców i blade tłumy ofiar. Krew tutaj, krew tam i zawsze krew. Niezmordowany a przerażający wyraz: gilotynowany, wije się pomiędzy wierszami książki, jak obrzydliwy wąż, brzmi jak uderzenia tej piekielnej maszyny. Jako historyk, Taine, posiada sposób grupowania szczegółów bardzo ścisły, cyfry idą za cyframi, małe okoliczności łączą się z małymi faktami, a metoda ta ukazuje mnóstwo dramatów jednostkowych, z których składał się ogromny obraz rewolucji. W porównaniu z tem liryczne ustępy Carlyle'a i Michelet'a są niczem, bo udział Taine'a, jako artysty, w jego historii jest wielki, czego nawet najzawziętsi przeciwnicy zaprzeczyć mu nie mogą. Lecz tutaj z artystą łączy się jeszcze uczony. Przez pięć obszernych tomów przeprowadza on jeden plan, nie gubiąc go w tysiącach szczegółów.

We wstępie do tomu ostatniego powiada, że w świątyniach prastarego Egiptu były sanktuaria oświetlone zasłonami tkaninami złotem; ale gdy kto chciał wejść w głąb przybytku i odnaleźć statuę, zjawiał się kapłan o poważnej twarzy, a śpiewając religijny hymn w egipskim języku, podnosił trochę zasłonę, dla pokazania Boga. Cóż tedy tam widziano? Krokodyla, węża krajowego, albo jakiegokolwiek inne niebezpieczne zwierzę; bóg egipcyan ukazuje się jako brudna bestya, rozciągnięta na purpurowym kobiercu. Nie potrzeba, dodaje Taine, spoglądać w przeszłość tak daleko, aby spotkać kult krokodyla: można to widzieć we Francji przy końcu ostatniego stulecia.

Po takim wstępie rozpoczyna autor charakterystykę Jakobinów, którzy składali się z czterech klas: najprzód naczelnicy: Marat, Danton, Robespierre; oficerowie to jest członkowie konwencji, idący za naczelnikami; pod-oficerowie bandy, czyli skład administracyjny; wreszcie prości żołnierze. Wizerunki tych czterech klas, są najelegantszą częścią książki. Nikt, nawet Michelet, nie posiadał w takim stopniu magii wskrzeszania tego, co zamarło. Istotnie, wszystkie te osobistości pod piórem Taine'a odżyły, oświecone przez kilka słów wymownych, wywołane i narysowane

w kilku gwałtownych wierszach. Jest tam Marat „niechlujny, rozmamany, ze swym wzrokiem zsiniałej ropuchy, z oczami okrąglami i błyszczącymi.“ Jest tam Danton „kolos z głową Tartara, pokrytą małemi krostami, o brzydocie tragicznej i ohydnej, o masce twarzy konwulsyjnej jak u warczącego buldoga, z małemi oczkami, utopionemi pod ogromnemi fałdami czoła.“ Jest tam Robespierre ze swemi konwulsyjnie drgającymi rękami, z gwałtownymi, nerwowymi ruchami szyi i ramion, „z żółciową cerą, z zielonemi, mrużącymi z za okularów oczami.“ I na wzór tych trzech portretów, przedstawionych jak w rzeźbie z kamienia, kreśli nam autor obrazy mniejszych tyranów: Duquesnoy'ów, Dumont'ów, Monestier'ów, a wreszcie plugawe robactwo katów niższych i jeszcze tłumy najbrutalniejszych narzędzi, stróżów wiezień i gilotyny.

Aby czytelnik miał pojęcie o tej historii, trzeba ją czytać. Oto np. Carrier, tyran z Nantes, którego mózg był napelniony „obrazami nieustannych mordów i śmierci.“ Wio, że sam jest przeznaczony na szafot, a przecież nie przestaje zabijać, ćwicząc się, gdy jest przy stole, obcinaniem świec szablą, „jakby to były głowy arystokratów.“ Mania mordów wrosła w tym Makbecie terorystów do tego stopnia, że skończył na okropnej rozrywce, bo kazał mordować przy sobie dzieci. „Pewnego dnia pomiędzy skazanymi było ich dwoje po lat czternaście i dwoje po trzynaście. Carrier kazał się zawiesić na plac tracenias i tam widząc, jak dziecko trzynastoletnie położone na desce było za małe na to, aby topór spadł mu na szyję, mówi do kata: Czy to będzie bardzo bolało? Zgadnąć łatwo, gdzie żelazny trójkąt spadł.“ Cóż można dodać do tego okropnego zapytania, i za pomocą jeszcze jakich wyrażen można spotęgować zwierzęcość tego potwora?

Wogóle zaś jakobinów Taine charakteryzuje tak:

„Według jakobina, rzecz publiczna należy do niego i jego oczów, rzecz zaś publiczna obejmuje wszystkie rzeczy prywatne: ciało i majątek, duszę i sumienie. Niczem dla niego są głosy francuzów żyjących; jego mandat nie wypływa z głosów, lecz dany mu z góry przez Prawdę, Rozum i Cnotę.

On sam tylko jest oświecony, sam patryotą, sam godzien rządów, a w swej dumie mniema, że każdy ogół jest zbrodnią. Jeżeli większość przeczy, to dla tego, że albo głupia albo popsuta; z tych dwóch

Sofokles.

Ja go wprawdzie pokonałem na igrzyskach, ale nie pokonam w historii. Gdy żył, odpychał mnie nieraz swą arystokratyczną wyniosłością, swym religijnym fanatyzmem, pęsną swych zasad; śmierć wszakże okryła całunem ułomności człowieka a odsłoniła potęgę geniusza, który jak dyamentowy kolos, czysty, błyszczący i twardy stanął niezaścimiony i nieprzewyszony w literaturze Grecji.

Aspazyja.

Chyba ten jedynie niższy jesteś od niego Sofoklesie, że żyjesz.

Sofokles.

Aspazyo, on stworzył Prometeusza.

Aspazyja.

Ale uczył Zeusa, który tego Prometeusza, za wykradzenie ognia wiedzy z Olimpu przykuł do skały i przez setki wyszarpywał mu codziennie odradzające się wnętrzności. Ty zaś, Sofoklesie, a z tobą my wszyscy czcimy nie mściwego i okrutnego boga, lecz śmiałego człowieka, bohater-skiego męczennika, który wyzwiał do walki tyrańa niebios i poświęcił się dla ludzi. Najpiękniejszy to i najprawdziwszy mit, jaki kiedykolwiek usnuła wyobraźnia.

Zawarty w nim dramat zaczął się przed wiekami a nie skończy się może nigdy — dramat przeszłych i przyszłych cierpień człowieka. Ze wszystkich też legend religijnej greckiej wierze w tę jedną: tak, Zeus jest i Prometeusz jest — nigdy nie zginą i nigdy walczyć nie przestaną. Zdaje mi się nawet, że cała wiara ludzi w tym mieście się zamyka, a z tą różnicą, że jedni są czcicielami Zeusa, a drudzy, Prometeusza. My należymy do ostatnich, kradniemy ogień bogom nieba i ziemi, które nas za to przytwierdzają do skał nad przepaściami a sępom każą rozdzierać; my cierpimy, ale tymczasem ogień się rozżarza, świeci i grzeje, zapala myśl ludzką iskrami nowych prawd i natchnień. Tak będzie zawsze. Zeus i Prometeusz nazwą się inaczej, skała zamieni się na słup, krzyż lub stos, ale walka trwać będzie. Eschyles jej nie rozumiał, więc ją zamknął zwycięstwem boga i pokorą człowieka. Słusznie też przelatujący orzeł roztrzaskał czaszkę zniedołężniałego poety skorupą żółwia.

Fidyasz (ciagle rysując, spojrzawszy na Aspazyję, szepce).

Pyszny model do Minerwy!

Sofokles.

Sędziwa starość nie może pędzić szyb-

kością wieku młodego. My biegniemy jak dzieci, on stał powoli jak nasz ojciec. Ale i on miał swą młodość — i on był Prometeuszem, bo prawdziwy geniusz nigdy się wstecz nie cofa i nigdy się nie poddaje.

Aspazyja.

Niech spoczywa w historii zabalsamowany wszystkimi środkami nieśmiertelności, ale dla życia obecnego posiada on jedynie wartość szanownej mumii. W jego tragediach ziemia wraz ze swymi tworam i jest bezwładną i bierną bryłą, na której rozbija i biwakuje, rządzi i gospodarzy, lub tańczy i koziołki wywraca horda roz-lulanych bogów; dla nas cała natura nie po nad sobą, ale w sobie nosi prawa i przeznaczenia. Człowiek Eschylesa dźwiga kajdany, twój, Sofoklesie — ledwie ostatnie z nich wrosnięte w ciało ogniwa, a może człowiek Eurypidesa mieć będzie tylko sine po nich pęgi. A to jest wielki postęp nietylko w pisaniu tragedji, ale i w pojmowaniu świata.

(D. c. n.).

powodów zasługuje na to, aby jej przyciąć rogów.“

Na stu pięćdziesięciu stronicach mówi autor o rządzących, dwieście zaś poświęca rządzonym. Po batalionie rzeźników, idzie długi szereg zarżniętych. Są to najprzód wielcy panowie i wielkie damy, które padają z zachwycającym wdziękiem. Ich przodkowie umarliby, broniąc się, ale przez nich przeszedł konwenans, więc cała ta arystokracja mężna z nieprzyjacielem, mężna w pojedynku, mężna na szafocie, nie była zdolna do oporu osobistego i niespodziewanego, którego tak zadziwiające przykłady dał dziennik *l'Estoile*. Potem idzie szlachta prowincjonalna, następnie kapitaliści, wieśniacy, bo terroryzm nie oszczędzał nikogo:

„Pomiędzy 12,000 skazanymi na śmierć, których można było skonstatować zajęcie, wypadło 7,545 włóścian, robotników, chłopów od pluga, szynkarzy i handlarzy wina, żołnierzy i majtków, lokajów, córek i żon rękodzielników, służących i szwachek.“ Jedno z tych ofiar były spowinowaczone z mieszczaństwem i księżmi, inne przywiązane sercem do wywróconego porządku. Inkwizycja Jakobińców warta swej poprzedniczki: „W Bedouin, mieście o 2,000 mieszkańców, gdzie ktoś nieznanym zdarł znak swobody, 433 domów spalono albo zburzono, 16 osób gilotynowano, 47 rozstrzelano, wszyscy inni mieszkańcy wygnani, musieli tułać się w górach i mieszkali w jamach, które kopali sobie pod ziemią.“

Jakobini mieli swoją ewangelię: *Contrat social*, którego wynikiem jest to, że majątek osobisty winien przejść na korzyść gminy. Zastosowali te zasady w całej sile, mówiąc: „Skonfiskowaliśmy dobra księży, wynoszące około 4 miliardów; konfiskujemy dobra wychodźców około 3 miliardów; konfiskujemy dobra wygnanych i gilotynowanych: jest tam około setki milionów; zruchujemy to później, bo lista się zwiększa codziennie. Konfiskujemy dobra podejrzanych, co nam da także ze sto milionów. Zabieramy dobra szpitali i innych dobroczynnych zakładów, około 800 milionów; bierzemy dobra fabryk, fundacji, instytutów edukacyjnych, towarzystw naukowych. Zabieramy majątki gminne. Jużeśmy odebrali stare dominia korony *de la liste civile*. Tym sposobem więcej, niż trzy piąte ziemi przejdzie w nasze ręce.“

„Trzeba jeszcze zanotować monetę w złocie i srebrze. Tylko w listopadzie i grudniu 1793 roku zebrano do kufrów trzy albo cztery sta milionów, nie papierów, ale monety brzęczące... Krótko mówiąc, jakkolwiek byłaby forma kapitału stałego, my zabieramy z niego trzy czwarte.“

Wszystkich tych rabunków dokonywali pod hasłem wzniosłej misji odrodzenia narodu francuskiego, i „spełnienia pragnień natury.“ A jeden z tych krzykaczy zawołał: „Raczej zrobimy z Francji emmentarz, gdybyśmy jej nie mogli odbudować według naszych zasad.“

To też nie dziwnego, że w końcu przebrała się cierpliwość narodu i Francja wolała schylić głowę przed despotyzmem, aby on tylko zapewnił jej choć trochę wewnętrznej swobody.

Zapowiedzią apoteozy Bonapartego, kończy się ta tragiczna książka. Spotkała się ona z zarzutem tendencyjności. Trzeba wszakże przyznać, że Taine nie występuje przeciwko zasadom i ludziom rewolucji. Jest on, a przynajmniej chce być naturalistą, który zastosował metodę doświadczalną do historii, przekonany że człowiek—to drapieżne zwierzę, zaledwie cokolwiek ulaskawione i będące nieustannie bliskiem wybuchu swych dzikich instynktów: „Tym razem—mówi on, z powodu Dargiroyto’a—ukazało się czyste zwierzę. Wszystko ubranie, jakie wieki utkały, i w które okryła człowieka cywilizacja, nawet ostatnia ludzka draperyja spadła na ziemię. Pozostało tylko pierwotne zwie-

rzę, dziki goryl, który zdawał się być poskromionym, ale który buntuje się w człowieku ustawicznie.“

Osobliwą cechą książki Taine’a stanowi to, że on zwalczając teorie rewolucyjne, nie staje przeciw w szeregu zwolenników dawnego porządku. Można nabrać zupełnego pojęcia o jego ideale politycznego zdrowia, czytając wykład teorii państwa. Według niego państwo nowożytne winno się ograniczyć do wytwarzania minimum tej pracy, której obywatele odosobnieni albo złączeni w stowarzyszenia nie mogliby dopełnić. Nie jesteśmy—powiada on—członkami starożytnego miasta, organami małej gminy, zawsze gnieceni, zawsze w stanie odpornym. Nabyliśmy w ciągu wieków średnich, dwa pojęcia, które stały się u nas niemożliwe do zburzenia, niezmiennie. Jedno winniśmy chrześcijaństwu i sumieniu, drugie feudalności i honorowi. W języku starożytnym nie ma wyrazów na przetłumaczenie tych pojęć, bo one dawniej nie istniały (!). Dziś je widzimy w trwałej równowadze stosunków Anglii, która mówi: „Strzeżmy się, aby państwo nie wzrosło, i nie pozwólmy, aby było czem innem, jak tylko psem stróżującym.“

Gnotus.

PARADOKSY.

I.

Pod tym oryginalnym nagłówkiem na wskroś oryginalny autor znanych naszym czytelnikom *Konwencyonalnych kłamstw*, puścił w świat nową książkę *). Dla czego ją tak nazwał? Oto dla tego, że, jak wyjaśnia w przedmowie, do rozpatrywanych w niej zagadnień z całą przystępowa swobodą, nieobalającymi unięmielającymi wyrokami szkoły i nie troszcząc się o ustalone w tej mierze poglądy. Twierdzenia, uważane za nietykalne z tej tylko przyczyny, że nigdy w nie bliżej nie wejrzano, zapytywał o dowody uwierzytelniające i często dosyć dochodził do przekonania, że nie mają żadnych. Ogólniki zmuszał do usprawiedliwienia swojej zasadności, gdy zaś tego uczynić nie mogli, ani wiek, ani stanowisko od potępienia ich nie uchroniły. Książka ta głównie ma na celu dowieść, że rzeczy nawet najbardziej zrozumiałe same przez się, dużo jeszcze przedstawiają zagadek nierozstrzygniętych i nieraz myśliciela w wielki wprowadzają kłopot, jak niemniej i to, że jeden i ten sam fakt najrozmaiciej może być pojmowany, a wszystkie te pojęcia i tłumaczenia, jakkolwiek w równym stopniu jasnymi się wydają, prawdopodobnie wszystkie zarówno są fałszywe. Autor (mówi on o sobie) zamiar swój uważać będzie za dopięty, jeżeli skłoni czytelnika do podejrzliwości wobec wszelkich formuł gotowych, lecz zarazem do pokłaniania względem wszystkich zdań szczerze wyjawionych. W pewniku najbardziej przekonywającym należy zawsze upatrywać wątpliwość, ale i nie szczędzić trudu na cierpliwe zbadanie argumentu, choćby najoczywistej niedopuszczalnego, przedewszystkiem jednak nie trzeba nigdy rzec się prawa sądu własnego, gdyby nawet to zrzeczenie się miało nastąpić na korzyść największej powagi. Nordau chętnie się zgadza, aby prawidła te najsamprzód zastosować do niego. Nie żąda, aby jego opinie podzielano, pragnie tylko, aby ich słuchano. Nie pochlebia sobie, że podał nowe rozwiązania, chciał tylko pobudzić czytelnika do szukania ich.

Określiwszy w ten sposób założenie swoje, Nordau podaje szereg studyów, a raczej rozpamiętywań na tematy z dziedziny

nauki i życia społecznego, z których każde (jest ich szesnaście) nazwanem być może małym arcydziełem, tak żywo, tak jasno i logicznie zarazem umie rozprawiać o przedmiotach.

Rozpoczyna książkę wykładem o optymizmie i pesymizmie.

Cudem świata większym, aniżeli piramidą egipską, aniżeli wiszące ogrody Semiramidy, aniżeli kolos rodyjski—autor mieni pesymizm, ów upowszechniony w naszych czasach czarny pogląd na przyrodę, ludzkosć i życie. Stanowi on tryumf wyobraźni nad rzeczywistością i świadczy, jak dalece człowiek zdolnym jest wtłaczać naturę, pomimo najgwałtowniejszego jej oporu, w suknie przez kaprys swój dla niej skrojone. Jak bujnym gałęziom drzew rozłożystych każde rosnąć w dziwacznych kształtach zwierząt i budynków, jak za pomocą robót hydraulicznych wodę, wbrew jej najwyraźniejszej skłonności, sprowadza na górę, tak samo z faktów, które winny wywoływać najpogodniejsze myśli, wywodzi ponure wnioski i unosi się w świat zwątpienia, gdzie wszystkich kwiatów kielichy, wszystkich ptaków gardła wydzwaniają i wywołują optymizm. To też filozofia pesymistyczna poważnie traktowaną być nie może. O ile jest szczerą, jest niczem innym, jak jedną z form głębokiego niezadowolenia z powodu ograniczoności rozumu. Chcielibyśmy pojąć mechanizm świata i nie możemy, stąd oburzenie i bluźnierstwo przeciwko niemu; podobnie czyni dziki, który nadaremnie namozoliwszy się nad pojęciem urządzenia tabakierki grającej, w naiwności swej mrużąc, rzuca ją o ziemię. Człowiek dumny, że jest panem stworzenia, a tu co krok przekonywa się, że panowanie jego wcale nie sięga daleko. Odkrycie podobne wprowadza go w zły humor, z którego tworzy system i nazywa pesymizmem. Dziecko, które wyciąga rękę po księżyc i zaczyna płakać, że go dosięgnąć nie może, jest w swoim rodzaju także bezwiednym pesymistą. Co do pesymizmu praktycznego, ten zdaniem autora, zawsze jest jednym z objawów choroby umysłowej, bądź już powstałej, bądź istniejącej dopiero w zarodku. Wszyscy wielcy poeci zwątpienia (*Weltschmerz*) mieli organizmy rozstrojone. Lenau zmarł wśród obłąkania, Leopardi cierpiał na znane dobrze lekarzom zbroczenie płciowe, Heine sposepniał i zachmurzył się wtedy dopiero, kiedy schnięcie mleczu pocięrowego poczęło oddziaływać na mózg, a Byron posiadał ową ekscentryczność charakteru, którą nieświadomie nazywa genialnością, psychiatra zaś podciąga pod miano psychozy.

Tłem właściwym wszystkich zapatrywań ludzkich jest bezgraniczny, wykorzenie się nie dający optymizm, on stanowi uczucie instynktowne, które w każdym położeniu towarzyszy człowiekowi. To, co nazywamy optymizmem, jest po prostu postacią, pod jaką dochodzi nas świadomość o własnej sile życiowej, o zjawiskach w organizmie naszym. Optymizm więc jest tylko odmiennem określeniem żywotności, stwierdzeniem faktu istnienia. Czujemy życie w każdej komórce naszego „ja“, czujemy działalność płodną, która wciąż nowy przygotowuje ruch i odgadywać go nam każe; wierzymy przeto w przyszłość dla tego, że ją czujemy w najwewnętrzniejszej naszej istocie; mamy nadzieję, bo świadomi jesteśmy trwałości własnej. Dopiero gdy wraz z siłą życiową znika ta świadomość, mroczy się i rozprasza także nadzieja i zamykają świetlane wrota przyszłości. Ale wtedy już i oko nie jest w stanie dostrzec zmiany nieprzyjemnej. Zdolność organizmu, polegająca na przystosowywaniu się do okoliczności danych, zdolność, bez której istnienie byłoby niemożliwem, oraz właściwa temuż organizmowi dążność do rozwoju—oto żywe podścieliska optymizmu. Nieustraszone kroczenie do celu, zwyciężkie odpiernie

*) Max Nordau. *Paraloxe*. Lipsk, 1885. Str. 414.

wrogich wpływów, ruch, postęp, nadzieja, życie—wszystko to są synonimy optymizmu. Bo wyrzeczenie: dum spiro, spero—stanowi treść filozofii życia i jest zasadniczą prawdą biologiczną.

Na poparcie tych spostrzeżeń, Nordau przytacza liczne, nader trafnie wybrane przykłady. Ograniczamy się na powtórzeniu jednego. W każdym zawodzie, powiada, ci, którzy do pierwszorzędnych dochodzą stanowisk, należą do rzadkich wyjątków. Na pięćdziesięciu oficerów jeden zostaje generałem; na stu lekarzy—jeden profesorem; inni pozostają w nieznanym ukryciu, często w nędzy i do końca życia walczą ze wszystkimi goryczami powołania swego, nie zaznawszy ani jednej z jego stron jasnych i wdzięcznych. Skoro przecież przystępujemy do obioru zawodu, widzimy tylko owego jednego na 50 lub na 100, nie zaś innych 49 lub 99—i mamy silną otuchę, że to my właśnie staniemy się tym jednym, chociaż dla każdego, co trzeźwo liczyć umie, przypuszczenie takie jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobnem. Podobnie rzecz się ma i z każdym innym przedsięwzięciem. Nieudanie zazwyczaj tak samo jest możliwem, jak powodzenie, może możliwszem jeszcze. Tymczasem nie wahamy się rozpocząć przedsięwzięcia tego lub owego, a czynimy to, naturalnie, dla tego tylko, iż z góry wierzymy w skutek pomyślny. Owem „coś“ co pobudza nas do postanowienia w tych razach, co przeważa cyfry rachunku prawdopodobieństwa, co zasnuwa firanki u okien, mających widok na możliwą klęskę, a na ścianie zawiesza obraz o wiele mniej możliwego powodzenia—to optymizm.

Skiz drugi z kolei nosi napis: większość i mniejszość. Zastanawia się w nim autor nad antagonizmem, panującym pomiędzy ludźmi umysłowo wyższymi, a tłumem, czyli, jak nazywają pospolicie, prostakami (*Philister*). „Kto czuje w sobie choć trochę genialności, często tyle zaledwie, aby usprawiedliwić noszenie długich włosów i pogardę dla przesądów kapeluszowych, ten ćwiczy swe mięśnie ramienne, uderzając na prostaków—rozumie się figuralnie jedynie, bo prostak każdy zwykle miewa stróża, jeśli sam nim nie jest. Nie-nawisć ta czarna jest niewdzięcznością. Prostak jest pożyteczny i łączy w sobie nawet pewną piękność stosunkową, właściwą każdej celowości. W obrazie cywilizacji stanowi on tło perspektywiczne, bez którego sztucznej małości, wspaniałe postacie, na pierwszym planie figurujące, nie robiłyby wrażenia wielkości. To jest jego rola estetyczna, ale bynajmniej nie najważniejsza. Podziwiając piramidy egipskie, czyż nie musimy powiedzieć sobie, że ludzkość zawdzięcza je lekcyażonemu prostakom? Wymyślił je niewątpliwie jakiś uzdolniony staro-egipski inżynier państwowy; ale wykonali synowie Izraela, którzy, jeżeli wolno wnosić z ich zamięłowania do cebuli i garstków z mięsiwem, musieli wówczas być naturami bardzo pospolitemi. Cóż-bo znaczą wszystkie pomysły geniuszu? Żyją one tylko w jego głowie i dla niego, lecz nie istnieją dla ogółu, dopóki nie zbliży się do nich prostak z pod ciemnej gwiazdy i dzielną dłonią ich nie urzeczywistni, ów prostak, który usługowej uwagi swojej nie rozprasza wśród własnej pracy wynalazczej, ale bezmyślnie czeka zachęty, wskazówek i rozkazów mistrza. Kto sam tworzyć jest w stanie, ten zazwyczaj i słusznie od wykonania się wstrzymuje. Rzeczą duchów wybranych jest myśleć i chcieć; rzeczą rzeszy średnio rozwiniętej jest myśleć i i wolę przenosić w kształty zjawiska zewnętrznego.

Zamiast: „prostacy“, zdaniem Nordaua, należy raczej mówić większość, kto zaś gardzi tą ostatnią, powstaje przeciwko prawu teoretycznemu, będącemu podstawą wszystkich urządzeń państwowych i spo-

łecznych. I cóż za sprzeczność zachodzi w tym względzie. Z jednej strony ponieważ wieramy tłumem, a z drugiej czynimy wszystko, żeby mu się przypodobać; odma-wiamy mu zdolności oceniania utworów geniuszu, podczas gdy najpięknijszym marmozem tegoż geniuszu jest osiągnięcie sławy i nieśmiertelności czyli uznania mas. Zaprzeczamy tłumowi rozsądku, a parlamentaryzm, sądy przysięgłych, opinia publiczna, wszystkie instytucje otoczone szacunkiem najwyższym, polegają na przypuszczeniu, że większość nie tylko zasługuje na zaufanie, lecz wprost jest nieomylną. Uważamy za upokorzenie być zaliczonymi do tłumu, a jednocześnie każdy ma sobie za zaszczyt tak czuć i myśleć, jak tłum, czyli większość narodu.

Nordau stara się szczegółowo tłumaczyć te sprzeczności i dochodzi do przekonania, że ludzie wyżsi umysłowo, jeśli chcą trwale pozostawić ślady swej działalności, nie powinni gardzić tłumem, lecz z cierpliwością powoli go ku sobie podnosić: przykładem, nauką systematyczną i częstem powtarzaniem.

Tłumom zwykle zarzucają głupotę. Ale to jest krzywdzące. Tłum bowiem sam w sobie wzięty wcale głupim nie jest, nie jest tylko tak mądrym, jak ludzie najrozsądniejsi swojego czasu. Wyobraża on po prostu szczybel rozwoju duchowego, na którym najlepsi znajdowali się wczoraj. Prawda, że najlepsi dzisiejsi dalej są posunięci, ale jutro tłum będzie również tak daleko i ażeby mieć prawo nazwać go zacofanym i nim pomiatać, geniusze jutrzejsi taką nad dzisiejszymi muszą mieć przewagę, jaką mają ci ostatni nad pospółstwem dzisiejszem. Oryginalność i miernota mają znaczenie nie bezwarunkowe, ale względne tylko. Wyjątek dąży do zostania prawidłem, oryginalność—typem. Natury potężne mają wartość modeli samodzielnych, które wiernie naśladowały ludzie tuzinkowi. Kształt kapelusza wymyślony wczoraj przez śmiały talent wynalazczy i podziwiany w stolicy, świeci jutro na głowach wszystkich dziewczynek wiejskich w kościele i nie zwraca już uwagi—parobków nawet. Skąd ta różnica w działaniu? Czy sam kształt się zmienił? Nie. Przestał tylko należeć do rzadkości. Banalność znoszona jest oryginalnością, oryginalność jest pierwszym przedstawieniem, premierą banalności. Banalność dzisiejsza jest nie tylko wprost oryginalnością wczorajszą, lecz jest nadto jej kwiatem, najlepszym i najszcawniejszym z niej, tem, co na utrwalenie zasługiwało, nie tylko dla tego, że było nowem, ale że było nowem prawdziwem i dobrem. „Czołem przed banalnością!“—kończy Nordau.—„Ona jest zbiorem wszystkiego, co dotychczas najlepszego wydała ludzkość.

Ad. J. Cohn.

TEATR.

Nowy dziedzic komedia w 3-ach aktach L. Świdarskiego, przedstawiona po raz pierwszy w teatrze Eldorado. — Dwużeniec komedia w 1-m akcie p. Duruy, przedstawiona w Teatrze Nowym.

Nie będziecieś żyć! siadywał na roli pradziadów naszych! — w tych słowach da się streścić sens komedii p. Świdarskiego, który z pewną siłą przekonania jest na scenie rzeczniikiem upadającej większej własności ziemskiej. Że umie on przemawiać do pewnej grupy słuchaczy dowodem tego powodzenie *Ojcowizny*, która trafiała do do serca gorącym frazezem. I w tej komedii p. Świdarski wyraził tendencję po swojemu za pomocą wyraźnej retoryki, splatając frazes tendencyjny z komiczną charakterystyką, zwłaszcza postaci żydowskich.

Przyznać należy, że w charakterystyce przedstawionych stosunków autor usilnie dążył do bezstronności, że broniąc interesów obywatelskich nie szukał poklasku u zasłepieńców i nie popisywał się z rodową nienawiścią.

Widzimy tu jak p. Wiatrowski puścił z wiatrem Wiatrówkę, prastare dziedzictwo swego rodu, bo nie umiał się rachować z groszem, bo putął pieniążki bez upamiętania i w końcu wlaź w ręce p. Mussmana, który niemogąc odebrać swej należności, wydziedziczył go za pomocą subhasty. Wiatrowski, dość lichy zresztą fanfaron, szastający swoim „parol d'honneur“ jak tyłu innych utracyszów, ludzi się do ostatka, tumani swego starego ojca a nie nie myśli o jakimś takim zalataniu kłeski. W ostatniej chwili dopiero niesie mu pomoc pogardzony niegdyś sąsiad Prostopiecz, człowiek rubaszny nieco ale o złotem sercu, który w ciężkiej chwili zapomina o kome-razach i bratnią dłoń podaje. Po ustąpieniu Wiatrowskich p. Mussmann instaluje się w swej nowej posiadłości, hojnie płacąc „chamom“, aby krzyczeli na cześć nowego „jasnie dziedzica“. Chałatowy „moremoreine“ bierze na soryo swe obywatelstwo, bardzo szybko się reformuje, goli brodę i zaczyna się rządzić w nowej posiadłości jak najnieodolniejszej. Całą gotówkę utopił w kupnie, na rolnictwie się nie zna, żydki go skubią, i poznaje co to są słodycze obywatelskiej doli, gdy jego pugilares dawniej pękaty, teraz wychudł jak dewotka po czterdziestodniowym poście. Prawdę powiedziałszy p. Mussmann jest na roli takim niedolegą, jakby niepochodził z inteligentnego i przemysłnego plemienia, do-prawdy nie wierzymy, ażeby go tak dalece skubali żydki, poczuwający się do solidarności z obywatelom-współwyznawcą. Mussmann ma córkę Różę, co jest „bardzo uczona“ bo chodziła na pensję i dużo la-dnych rzeczy gada. Zamiast skreślić z obser-wacji postać inteligentnej żydówki oraz jej stosunek do zacofanego otoczenia, autor kazał pannie Róży gadać mnóstwo książkowych frazesów i apostołować na korzyść pojednania. Przyjaciółka Róży jest młoda Wiatrowska, blade kreślona fi-gura paniienki wiejskiej. Gdy ojcowie są wrogami, córki ich pracują nad wskrze-szeniem dawnej harmonii i łagodzą niena-wisć pomiędzy wydziedziczonym a wdzier-cą. Ostatecznie Mussmann jest prawie zrujnowany, a stawszy się dziedzicom, wlaź w takie położenie, że nie może się ruszyć ani w prawo ani w lewo. Jedynym ratun-kiem jest wygrana w kompromisie są-siedzkim, w którym także błyszczy jego niemożliwe niedoleżtwo. Od zupełnej ruiny ratuje go córka Wiatrowskiego, odkryw-szy podstęp w tej tranzakcyi, chociaż wła-sny jej ojciec mógłby z tego ciągnąć brudno korzyści. Żyd się wtedy rozczula i godzi z dawnym właścicielem, pozwalając mu po cząsteczce odkupywać „ojcowsinę.“

Rozwiązanie takie bardzo łatwe ale na papierze. Wiemy, że w rzeczywistości wydziedziczeni nie wyrwyją z cudzych szponów zaprzepaszczonego mienia. Dzieje się to w historii fortun prywatnych i w dzie-jach społeczeństwa, które winy ojców od-robić nie jest w stanie.

Dlatego też komedię p. Świdarskiego należy uważać nie za obraz realny ale za pewnego rodzaju postulat, utworzony we-dle sympatyj autora. Chłoszcze on lek-komyślność utracyszów ale wierzy w mo-żliwość ich poprawy, bo tego gorąco pra-gnie. Niestety, w rzeczywistości zamiast Mussmanów niezaradnych pojawiają się chciwi łupieżcy, którzy z majątku wysysa-ją wszystko co się da, niszcząc go hania-bnie a z dawnymi właścicielami nie wcho-dzą w kompromis. Nieudolność żydów wobec działalności agrarnej dałaby się ująć w typowy obraz odmiennych nieco zarysów. Ich stosunek do dawnych dzie-

dziców nigdy chyba nie jest tak przyjaznym.

Jednym słowem sytuacja „Nowego Dzieńca” jest wyjątkowa, wymarzona, pomysł sztuki nie przynosi nic nowego, ani żywotnego w obecnych stosunkach. Jeżeli tacy Wiatrowscy mają pozostać na roli, to doprawdy mała z tego dla kraju pociecha, bo prędzej czy później Mussmann czy Landsmanny każą im się wynosić. Czyby nie należało stawiać innej zasady dla tych, co nie mogą w słabych dłoniach utrzymać całej ojcowskiej spuścizny? Czy nie trzeba ich zachęcać, aby porzuciwszy marzenia o dawnym dziedzictwie dorabiali się na małym, aby podnosili „mniejszą” własność ziemską, przed którą unas takświatna jest przyszłość. Ale prawda, że to należy do socjologów a nie do... komedyopisarza, któremu trzeba przyznać dobre chęci i powien stopień talentu w poruszeniu tak ważnego przedmiotu. Aby p. Świderski został pisarzem społecznym szerszego pokroju, powinien porzucić wyłącznie szlachetnie stanowisko a wszechstronniejszą pracę w kierunku sprowadzania do kraju maszyn i narzędzi rolniczych najlepszego typu i wyrobu. Gdyby był sędzią konkursowym i wiedział, że za to jedno ustępstwo otrzymam, jak p. Jung, monopol sprzedaży piwa na wystawie lub też za upór ugodzony będę śmiertelnie „protestem,” nie zaszczyciłbym owego p. ...skiego nawet listem pochwalnym, a przynajmniej nie usprawiedliwiłbym w ten sposób mojego wyroku. Bo naprzód proszę zauważyć, że na wystawie rolniczo-przemysłowej odznaczono handel. Sprowadzanie maszyn zagranicznych do kraju—to zasługa nie rolnicza, ani przemysłowa, ale czyste handlowa—jeżeli tu wogóle o jakiegokolwiek zasługę mówić można. Według tej logiki należałoby również obdarzyć medalem dostawcę igitel i koniak, co byłoby nawet racjonalniejszym, gdyż użyteczność igitel i smak koniaku nie ulega już wątpliwości, podczas gdy owe odznaczone maszyny są jeszcze „niewyprobowane,” tylko „rokuja” dobrze „budową i kształtem.” Uprzedzić winienem, że „pracę w kierunku sprowadzania” uczczono bardzo hojnie. Kto ma kanarki z Harcu, a zwłaszcza kto je rozmnaża, ani się spodziewał, że mógł na wystawie otrzymać „dyplom uznania.”

Grano sztukę wcale znośnie w teatrzyku p. Puchniowskiego, a palma pierwszeństwa należy się p. Józefowiczowi, który w roli młodych „szajceów” jest nieporównany. W rolach kobiecych panie Królikowska i Zielezińska; w rolach męskich pp. Królikowski, Szymborski i Kopiecki zasługują także na dobre słowo.

Kto chce śmiać się do rozpuku, temu rekomendujemy pyszną farsę p. Duruy *Dwużeniec* graną w Teatrze Nowym z zasłużonem powodzeniem.

Autor jej wpadł na złotodajną zylę dobrego humoru i potrafił do szczytu ją wyzyskać. Koncept polega na tem, że p. Boisjoly, główna osobistość sztuki z powodu dziwnego zbiogu okoliczności musi współcześnie grać rolę narzeczonego dwu panien a nawet przyparty do muru przez obu ojców, w jednym dniu podpisuje dwa kontrakty ślubne. Zaplątanie tego węzła bardzo żręczne. Wynika z tego cały łańcuch najkomiczniejszych powikłań, awantur, którego opowiedzieć niepodobna.

Bez uciekania się do tłustych i cynicznych konceptów, bez zwykłej drwiny i cudzołóstwa, autor zdobył się na szereg scen niewymownie pociesznych, okrasil je błyskami dowcipu, wyskrzył całość mnóstwem tych słówk wesołych a zrezygnął, od których widzowie się trzęsą ze śmiechu. Głupie to—ale zabawne nieskończenie.

P. Śliwiński w roli głównej, panowie Sikorski, Grabiński w rolach ojców grali zabawnie i gracko—właściwie jednak sztuka należy do tych, które same się grają i biegały szybko, jak z góry wóz na dobrze wysmarowanych osiach.

S. K.

LIBERUM VETO.

Pogrzeb wystawy. — Logiczna próba listy nagród. — Jeden zupełnie zadowolony. — Protest Yacht-klubu. — Odmierzenie zemsty z czubem. — Złośliwe posądzenie. — „Dzicy mężowie.” — *Grażdanin*. — Przepsy

aptekarские. — Przywileje spadku i krzywda pracy. — Zagadkowi bohaterowie. — Monusko i trzechsetne przedstawienie *Halki*. — Kto idzie przodem.

Wystawa rolniczo-przemysłowa zakończyła swój chwalebny żywot i już tylko formalności jej pogrzebowe załatwia prasa—humorystyczna. Było w tym turnieju rzeczywiście wiele objawów pomyślnych, wiele dowodów pocieszających, ale nie brakło także materiału do serdecznego śmiechu. Mianowicie poważne twarze pism i publiczności zaczęły się rozweselać od chwili, gdy rozdano nagrody. Przyznałem się już wielokrotnie, że dotąd nie zdołałem odgadnąć, według jakiej zasady odznaczania są rozdawane. Wezmę pierwszy lepszy przykład z ogłoszonej listy urzędowej: „...wi...skiemu za sprowadzenie (z zagranicy) narzędzi nowego typu, jakkolwiek jeszcze w kraju niewyprobowanych, jednakże kształtem (!) i budową rokujących praktyczną użyteczność, a nadto za wieloletnią pracę w kierunku sprowadzania do kraju maszyn i narzędzi rolniczych najlepszego typu i wyrobu.” Gdyby był sędzią konkursowym i wiedział, że za to jedno ustępstwo otrzymam, jak p. Jung, monopol sprzedaży piwa na wystawie lub też za upór ugodzony będę śmiertelnie „protestem,” nie zaszczyciłbym owego p. ...skiego nawet listem pochwalnym, a przynajmniej nie usprawiedliwiłbym w ten sposób mojego wyroku. Bo naprzód proszę zauważyć, że na wystawie rolniczo-przemysłowej odznaczono handel. Sprowadzanie maszyn zagranicznych do kraju—to zasługa nie rolnicza, ani przemysłowa, ale czyste handlowa—jeżeli tu wogóle o jakiegokolwiek zasługę mówić można. Według tej logiki należałoby również obdarzyć medalem dostawcę igitel i koniak, co byłoby nawet racjonalniejszym, gdyż użyteczność igitel i smak koniaku nie ulega już wątpliwości, podczas gdy owe odznaczone maszyny są jeszcze „niewyprobowane,” tylko „rokuja” dobrze „budową i kształtem.” Uprzedzić winienem, że „pracę w kierunku sprowadzania” uczczono bardzo hojnie. Kto ma kanarki z Harcu, a zwłaszcza kto je rozmnaża, ani się spodziewał, że mógł na wystawie otrzymać „dyplom uznania.”

Ale cały harmider skończył się—przekleństwami sądzących i sądzonych. Jeden tylko człowiek—sądzący i sądzony—nie wyniósł żadnej urazy, owszem dobrze napechany worek... zadowolonia. Człowiekiem tym jest naturalnie p. Jung, którego wawrzyny długo spać nie dadzą piwowarom. A wawrzyny te należą również do charakterystycznych znamion wystawy.

Jeszcze nie umilkły jej protesty, gdy ze swoim wystąpił Yacht-klub. Towarzystwo wiosłarskie bowiem nie dopuściło do wyścigu podczas uroczystości wianków jego łodzi, jako nieodpowiadającej warunkom (za lekkiej) i przemocą ją wyparło. *Amicus Plato, sed magis amica veritas*: Towarzystwo odsloniło się tym czynem na ostry zarzut. „Gwałtowne natarcie jednej z ciężkich łodzi Towarzystwa wiosłarskiego na naszą lekką wyścigową—powiada Yacht-klub—co mogło spowodować zupełne jej zdruzgotanie i narażenie życia pięciu ludzi, jest czemś zupełnie niesłychanem i bodaj jedynym dotąd wypadkiem w kronikach sportu wodnego.” Przyjąwszy nawet, że to zapewne nie jest „niesłychanem” i „jedynem” w sporcie wodnym, który także miewa swoje starcia i awantury, przyznać trzeba, że bez takiego tryumfu i takiego zarzutu powinno było Towarzystwo wiosłarskie się obyć. Stanąwszy w tym wypadku po stronie Yacht-klubu, tem łatwiej mogę być pośrednikiem zgody. O ile mi wiadomo, przeważną ilość jego członków stanowią Niemcy. Otóż donoszę im o następującem zdarzeniu, jeśli o niem nie słyszeli. Przy brzegu morza niemieckiego pływająca łódź z gromadką polskich rybaków: nagle najechała na nią parowiec nie-

miecki, rozbił i wraz z rybakami zatopił. W Wisle omal nie skapało się pięciu członków niemieckich, a z Prus wygnano 30,000 polaków—zdaje mi się, że krzywda Yacht-klubu jest pomszczoną.

Owo tępienie nowożytnych albigensów ujawniło w zeszłym tygodniu znamienity rys teutonizmu. Gazety puściły pogłoskę, że rząd pruski postanowił złagodzić przesładowanie. Gdyby go posłuszono, że postanowił zagasić słońce, jego organy nie byłyby się tak oburzyły. *Nordd. Allg. Zing.* natychmiast pospieszyła z zaprzeczeniem „niedorzecznej wieści” i zapewnieniem, że „przedsięwzięte środki przeprowadzone będą z całą surowością.” Ani przez jedną chwilę o tem nie wątpiłem, bo nigdy nie zapomniałem, co znaczą w herbie państwa niemieckiego „dzicy mężowie z maczugami.” *Now. Wremia* słusznie zauważa, że „wydalanie 30,000 robotników przeprowadzane jest z okrucieństwem właściwym w świecie cywilizowanym tej tylko rasie.” Istotnie, w Europie nie ma drugiego plemienia, któreby się zdobyło na podobny gwałt, a wobec odyktu pruskiego błędnej najsurowsze środki, używane przeciw uposledzonym lub tępiącym narodowościom. Gdyby faktu tego historya nie zapisała, byłaby najgłupszą z nauk, niegodną obciążać umysłu ludzkiego. Jak dalece zaś on jest oburzającym, przekonują nas nasze żale—boć jesteśmy bezpośrednio interesowani—ale sądy pism, które o współczucie tym żalom posadzać trudno. *Grażdanin* wycieniowywał dalej zaznaczoną poprzednio sprzeczność. „Gdy z Niemiec—powiada on—wydalają przeważnie biedaków, pracą rąk zarabiających na życie, Niemcy, osiedli w Rosyi, niejako przechwalają się dobrobytem swoim i nierozważnym związkiem swoim z państwem niemieckiem. W tym względzie ciekawe cyfry podaje statystyka składek na podarek narodowy dla księcia Bismarka—od zamieszkałych po za granicami Niemiec. Pokazuje się, iż z Rosyi przysłała suma (37,862 marek) największa, t. j. znacznie większa, nietylko niż z jakiegobądź innego państwa Europy, lecz nawet o 6,000 przewyższająca składkę z Afryki, Azji i Australii, razem wziętych—a przeciw w tych częściach świata szczególnie kwitnąc ma niemiecka kolonizacja narodowa! Więcej niż 6,000 przynosi sumą całą składkę z Ameryki, dokąd w ciągu lat 10-ciu emigrowało Niemców prawie 2 miliony!”

Mosk. Wiedomosti podały niedawno następującą wiadomość: Utworzona przy departamencie medycznym ministerium spraw wewnętrznych komisja, mająca zająć się rewizją przepisów aptecznych, uznała za potrzebne ustanowić przepisy: a) aby apteki utrzymywali wyłącznie tylko farmaceuci, posiadający stopień nie niższy od stopnia prowizora; b) aby na wypadek śmierci aptekarza pozostałe po nim całe urządzenie apteki sprzedawać temu prowizorowi, który będzie wybrany na miejsce zmarłego przez radę lekarską i c) aby pozwolenie na otwieranie aptek na czas dziesięcioletni wydawały władze miejscowe.

Po doniesieniu tem przesłiznęły się zapewne oczy większości czytelników, a jednakże kryje się w nim zapowiedź rozwiązania dramatu. Oto wątek życiowy. Umiera aptekarz i zostawia rzadko rozumną, a częściej ograniczoną żonę, która wstępnie w jego prawa i tylko dla korzystania z nich bierze sobie prowizora za mizerną pensję. Innymi słowy: przywilej, przywiązany ustawą do pewnego specjalnego ukształcenia, przechodzi drogą zwykłego spadku, zagradzającego drogę uprzywilejowanemu. Bo coż może zrobić farmaceuta, nieposiadający wielkich środków i rozległych stosunków, wobec wdów po zmarłych aptekarzach, wobec utrwalania praw w ich rodzinach mocą sukcesji? Musi iść na służbę do monopolu. A przecież wdowy

i dzieci po lekarzach nie dziedziczą ich praktyki i nie wynajmują sobie dla prowadzenia jej medyków. O ile skutkiem tego młodzi farmaceuci mają ściśnięte pole pracy i z jakim trudem dobywają się na wierzch, świadczy np. fakt, że pewien prowizor zapłacił 18,000 rs. hrabinie X., która wyrobiła sobie pozwolenie założenia apteki. Za co zapłacił? Po co się kształcił? To też ci pokrzywdzeni przechodzą zwykle ciernistą kolej. W młodości wysługują się aptekarzom lub ich wdowom, a na starość... otwierają dystrybucye, robią atrament, fotografują itd. Nie lepiej w Cesarstwie. I tam między właścicielami aptek spotykamy: hrabiów, kupców, nauczycieli, akuszerki, wojskowych itp. oraz ich potomków. Zamierzone więc przepisy, które naprzód oddadzą farmaceutom to, co im się słusznio należy, powtórę wydziedziczą ich rodziny z niesprawiedliwego spadku. wreszcie odejmą przewagę kapitałowi na korzyść pracy—są bardzo pożądane. Żyjemy w ustroju, który uniemożliwia bezwzględne zniesienie spadkobrania, ale pozwala je ograniczać w tych przynajmniej wypadkach, w których one podtrzymują się cudzą szkodą. Do takich właśnie wypadków należy wspomniany i obecnie zagrożony przepis ustawy aptekarskiej.

I wam czytelnicy zapewne zdarza się nieraz to, co mnie: biorę do ręki jakąś polską ilustrację, znajduję w niej portret, czytam podpis i—nie wiem o narysowanym bohaterze; dopiero z dołączonego objaśnienia dowiaduję się, że był to albo znakomity pociesznik, albo współpracownik *Gazety sądowej*, albo fundator kościoła, albo też rada Towarzystwa kredytowego ziemskiego. W ubiegłym tygodniu miłą pod tym względem niespodziankę sprawiły nam pisma ilustrowane, podając wizerunek Moniuszki z powodu trzechsestnego przedstawienia *Halki*. O kim nigdy nie zapomina serce, tego chętnie zawsze widzą oczy. A chyba trwale osiadł w sercach naszych Moniuszko, jeśli piękna jego opera doczekała się w krótkim stosunkowo czasie 300 przedstawień—pomimo że początkowo uznano ją za dzieło liche. Utwory genialne często wprowadza w świat głupota, a pod łuk tryumfalny wprzód wbiegają weseli ulicznicy, niż wolno posuwający się ze swym orszakiem zwycięzca. Ale ulicznicy natychmiast gdzieś nikną, gdy zwycięzca u bram Kapitolu staje.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Jak broni się od konkurencji rolnictwo a jak przemysł. — Przykłady grzeczności sąsiedzkiej i odpowiedź na nią. — Sprawa katolicka. — Cud. — Apostrofa do prasy stojącej na straży religii i tradycji. — Objawy zdziwienia i przyczynki do historii upadku moralnego społeczeństwa.

Zanim redakeya *Gazety rolniczej* z nawałną nadesłanych rękopisów wybierze najwłaściwszą receptę dla schorowanego rolnictwa, jeden z korespondentów tego pisma w dziwnie prosty sposób rozwiązuje kwestję. „Wobec groźnej konkurencji zbożowej,” powiada on, dwie są drogi ratunku:

- 1) podniesienie dochodów z majątku i
- 2) zmniejszenie rozchodów.

Naiwne to zdanie, przypominające radę, że chcąc zjeść kawałek chleba, trzeba go do ust włożyć, można by jeszcze uzupełnić uwagę, iż najłepiej jest jednocześnie zastosować oba zalecane środki. Wtedy pozostaje do rozwiązania tylko bagatelka: w jaki sposób dochody powiększyć a rozchody zmniejszyć. O pierwszej części tego zagadnienia korespondent nie mówi wcale,

do drugiej zaś dostarcza kilku faktów, które pomóżd mogą w jej rozstrzygnięciu. Niema on zamiaru zmniejszenia płacy robotnika, „która nie jest zbyt wysoką,” ale chciałby wprowadzić robotę wymiarową, bo ta jest tańszą. Szkoda, że autor nie objaśnia, jakim sposobem da się to osiągnąć, bo zwyczajna logika uczy nas, że praca tańsza—to znaczy praca mniej opłacana. Albo więc zarobek musi się zmniejszyć, albo za taką samą cenę robotnik dać musi większą ilość pracy, aniżeli wynosi normalna jej jednostka, zwana dniem robotczym.

Druga oszczędność—to zmniejszenie opłat od ubezpieczeń. Korespondent asekuruje tylko budynki i zboże, pozostawiając na los szczęścia bydło i ruchomości; szacuje wszystko jaknajniżej, a jednak płaci 400—450 rs. składki, kiedy dawniej za czasów rządowej dyrekcyi ubezpieczeń, płacił tylko 100 rubli. Autor sądzi, że ubezpieczenia rządowe można by łatwo przywrócić, ponieważ opłacały się a nawet przynosiły dochód. Tutaj i logika i zdrowa polityka ekonomiczna przemawiają za nim, ale sprzeciwia mu się znowu istniejący stan rzeczy. Zniesienie towarzystw prywatnych—to olbrzymia operacya finansowa, która pochłonięłaby znaczną sumę, bo wszystkie te Jakory, Salamandry i inne warszawskie lub petersburskie smoki mają apetyt dobry, zwłaszcza zaś, że zapewniony koncesyją. Państwo musi dotrzymać zobowiązań, trudno zresztą krzywdzić „biednych” kapitalistów i pozbawiać ich ciężko zapracowanych milionów. Zresztą, szanowny pan L. G. powinien wiedzieć, że te wysokie składki, to następstwa tego samego systemu wolnego współzawodnictwa, który pozwala pracę robotnika zrobić „sprawiedliwszą i tańszą.”—i że „szczytem naiwności” jest żądanie, aby taki projekt poparło Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu, w którym właśnie rej wodzą ci przeznaczeni przez autora na ofiarę akeyonaryusze oraz generalni i inni jeszcze inspektorowie instytucji prywatnych.

P. L. G. wspomina również o ubezpieczeniach od gradobicia, o których mówiliśmy poprzednio i nazywa pobierane od tego rodzaju asekuracyi składki—niemożliwymi. Malczek a może warunki zmieniają się, bo podobno wydana będzie wkrótce normalna ustawa dla towarzystw wzajemnych ubezpieczeń od gradu. *Zaria kijowska* podaje projekt, ażeby na wzór Niemiec asekurować gospodarstwa od strat wszelkiego rodzaju, a nawet od niedoborów. W naszych stosunkach myśl to zupełnie nie praktyczna. Co innego w Niemczech, gdzie gospodarstwa prowadzone porządnie i według pewnego systemu posiadają ustaloną już normę dochodu, która łatwo może być sprawdzoną za pomocą ksiąg—ale nie u nas, gdzie rolnik nie da nawet przybliżonego określenia ilości oczekiwanych zbiorów i niezem nie stwierdzi, że zbiory te powinny być takie a nie inne. U nas każdy szlachcic na zasadzie: „jeżeli Bóg zechce a psia krew deszcz nie przeszkodzi,” spodziewa się do samych żniw bajecznych plonów, i tej nadziei nie osłabiają najrozsunniejsze dowody. Zresztą jakiegóż to ogromu pracy wymagało by sprawdzanie wiarygodności deklaracyi i szacowanie niedoboru. Wobec zaś wielkich różnic w stanie gospodarstw, posiadających mniej więcej jednakowe warunki przyrodzone, ustanawianie pewnych kategorii dochodów normalnych byłoby bardzo trudnem, jeżeli nie niepodobnem.

Zobaczmy teraz, w jakich warunkach prowadzić musi walkę z konkurencją zagraniczną przemysł i handel polski. W sprawie tej przywołujemy na świadka osobę bezstronną, bo korespondenta *Nowego Wremieni*, który z pewnością jeżeli ma do wyboru Polaków i Niemców, to jak ów osiołek z bajki zastanawia się tylko kogo

pierwej zjeść, czy polski owies czy niemieckie siano, której to okoliczności zawdzięczamy dotychczas w pewnej mierze swoje istnienie.

Otóż ten właśnie bezstronny korespondent pisze:

„Gazety niemieckie starają się usprawiedliwić wysiedlanie przymusowe Polaków względami ekonomicznymi, dowodząc, że robotnik polski zaiża normę płacy robotczej. Władze jednak rosyjskie są pod tym względem dla Prusaków daleko grzeczniejsze. W Mirkowie np. odległym o wiorstę od granicy znajduje się wielka papiernia, należąca do bogatych Żydów warszawskich, w której pracuje około 200 robotników pruskich, przebywających codziennie granicę. Władze miejscowe, nie chcąc ich fatygować przechodzeniem granicy w Wieruszowie, urządziły w samym Mirkowie rogatkę, będącą jakoby przedsiönkiem fabryki.”

Notujemy ten przykład grzeczności jako charakterystyczny objaw, uważając sprawę całą za mniej ważną, ponieważ nie przywiązujemy tyle znaczenia do faktu poddaństwa, jak p. korespondent, a ci „Prusacy” są zapewne rodowitymi Polakami. Mamy zresztą inne, ciekawsze wzory grzeczności—oto dalszy ciąg listu tegoż samego korespondenta:

„Wedle prawa nikt, nawet poddany rosyjski nie może zakładać fabryki w obrębie pasu granicznego, bez specjalnego upoważnienia władz celnych, od nich zatem jedynie zależała możebność istnienia takich Sosnowic, gdzie kwitną fabryki, zakładane przez cudzoziemców, którym udzielano bez najmniejszej trudności pozwolenia, gdy tymczasem miejscowym właścicielom nie wolno stawiać żadnych budowli w odległości 600 sążni od granicy.”

„Zresztą—dodaje korespondent—można wnosić, że postępowanie tego rodzaju zasługuje nawet na uznanie, ponieważ urząd naczelnika okręgu celnego w Sosnowicach zajmuje już od lat 25 jedna i ta sama osoba, i w tych dniach nawet obchodził w Warszawie jubileusz służby tego urzędnika. Na obchód uroczysty przybyli wszyscy fabrykanci sosnowiccy i ofiarowali jubilatu adres dziękczynny.”

A oto jak na takie grzeczności odpowiadają Niemcy.

Corocznie przez granicę Królestwa wychodzi do Niemiec 288,000 sztuk świń, zyski jednak handlarzy miejscowych są prawie żadne, bo kilka razy do roku rząd pruski, niby to ze względów sanitarnych zabrania przywozu nierogaczyny. Zakaz chrończnie powtarza się wtedy, kiedy handlarze hurtowni zakupują trzodę chlewną u rolników. Nabywcy krajowi powstrzymują się od kupna, Niemcy dostają świnię po niskiej cenie, kiedy zaś towar przejdzie do ich rąk—znosi się zakaz. Ta suma mniej więcej manipulacya powtarza się i z wołną. Handel nierogaczyną przechodzi powoli w ręce niemieckie, zaś zgonnicy—polacy bankrutują.

Że tak być niepowinno, zgodzi się ze mną każdy. Handel świński, to przecie wyraźna sprawa katolicka i szlachecka, prowadzą go bowiem wyłącznie prawie zagonowi szlachcice z podlaskiego. Ażeby utrwalić raz na zawsze tak niespodziewanie zawarty sojusz, opowiem przez wdzięczność o cudzie, jaki zdarzył się w Piotrowicach pod Radomiem.

Podczas kiedy ludzie bawili się w karczmie, nadejść zaczęła burza. Biesiadnicy chcieli się rozejść, ale szynkarz nie puścił grajka, a na uwagę jednego z gospodarzy, że piorun może uderzyć, odpowiedział śmiechem. W tem piorun istotnie uderza w karczmę, zabija szynkarza i kentuzjuje kilka osób. W wypadku tym—jak powiada *Wiek*—ludzie widzą karę bożą, która jest surowszą jeszcze, niż z powyższego opisu sądzić można, bo pozbawiła spadkobierców zabitego 400 rubli, skradzionych już

trupowi. Widocznie wpływy jezuickie panują nie tylko w namiestnictwie watykańskim, ale i w zaświatowej stolicy sprawiedliwości i władzy, która, jak powyższy przykład dowodzi, kieruje się maksymą, że cel uświęca środki i wymierza słuszną karę nie tylko za pośrednictwem piorunu, ale i za pośrednictwem złodzieja.

Ukorzywszy się przed tajemnicą mądrego wyroku, zwracam się z zapytaniem do kogo należy: czy religia chrześcijańska nakazuje święcić niedzielę wszystkim ludziom bez różnicy majątku i jeżeli tak, to dla czego prasa katolicka nie karci łamania tego nakazu? Jednocześnie otrzymujemy wiadomości, że w kilku miastach fabrycznych a zwłaszcza w Łodzi właściciele niektórych zakładów przemysłowych zmuszają robotników do pracy w niedzielę, grożąc nieposłusznym karą pieniężną lub wydaleniem. Inicyatywę dali podobno właściciele izraelici, którzy święcą sami szabas a nie chcą próżnować dwa dni w tygodniu, naśladując ich jednak i chrześcijanie. *Dziennik Łódzki*, który również porusza tę sprawę, twierdzi, że święcenie niedzieli jest zwyczajem i że prawo za zmuszanie do roboty w tym dniu nie karze. W istocie brak nam prawodawstwa fabrycznego a w ogólnem niema przepisów o święceniu niedzieli, możnaby jednak w danym wypadku stosować przez analogię artykuł karzący za przeszkadzanie komukolwiek w odprawianiu obrządków jego religii. W każdym zaś razie należałoby tę sprawę poruszyć — zwłaszcza zaś organem katolickim.

Pisma znowu wierne tradycji, które skrzętnie notują zgon każdego napoleończyka, powinny się upomnieć o krzywdę wyrządzoną najstarszemu z nich. W Kaliszu mieszkiał 109-letni staruszek, dawny żołnierz; biedaka tego przejechał powóz, a siedzący w ekwipażu obywatel nie tylko nie podał ranionemu pomocy, ale kazał furmanowi zaciąć konie i uciec. Czyn tego rodzaju, jeżeli popełni go osoba szlachetnie urodzona, nazywa się w żargonie prasy naszej — „smutną nieostrożnością,” kiedy w samej rzeczy jest zbrodnią, którą karze surowo prawo, a rozgrzeszać może tylko wyrozumiałość i spódną opinią publiczną. Furman rzeczywiście winien jest tylko nieostrożności, ale pan jego — pozostawienia bez pomocy umierającego, bo ów staruszek, rozumie się, umarł.

W Lublinie znowu inny obywatel, rozgniewany tem, że żona jego ustąpić musiała kilku cali miejsca wózkowi, w którym nianka ciągnęła małą dziecinę, schwytał wózek i zepchnął go na ulicę. Szczęściem skończyło się wszystko na przestachu dziecka, chociaż kto wie, czy się skończyło, czy ten wypadek nie wpłynie na umysł lub na charakter brutalnie skrzywdzonego malenistwa. *Gazeta lubelska* utrzymuje, że i ten fakt nie ulega karze, nie zaszkodziłoby jednak spróbować, czy też sąd nie znajdzie odpowiedniego paragrafu.

Pragnąłbym, żeby opis tych faktów doszedł do wiadomości korespondenta mińskiego *Gazety warszawskiej*, który biada nad zdziwieniem ludu. Jeżeli spostrzeżenia jego są słuszne, to widać, że podnosi się tylko ogólny poziom dzikości, bo inteligencja dokłada wszelkich starań, ażeby utrzymać prawidłowy stosunek.

Dopóki jednak ta sprawa nie wyswietli się, zanotuję tymczasem nowy dowód rozsądnej ofiarności ludu. W roku zeszłym potrzeba było wysłać na wakacje letnie 150 ubogich dzieci z ochronki imienia Jachowicza. Stukano do wrót pałaców, których właściciele i właścicielki znani są z miłostkizna, ale bezskutecznie; najczulsza litość kryła się w skorupę samolubstwa przed obawą ciągłych kłopotów. Dopiero koloniści z Czarnowa dali przytułek biednym sierotom, dali im bezpłatnie mieszkanie, słomę na pościel, drzewo na opał a nawet mleka, ile starczyło. Dzieci we-

soło i zdrowo spędziły czas letni. W roku bieżącym również potrzeba było koniecznie wysłać je na wieś, z powodu odnowienia lokalu, zarząd ochrony zaczął znowu szukać litościwych dobroczyńców i zewsząd odbierał odmowne odpowiedzi. Do czarnowian nie zwracano się wcale, nie wypadało jakoś narażać ich na kłopoty, ale zaci koloniści sami wystąpili z ofiarą, którą z wdzięcznością, rozumiem się, przyjęto.

Bezstronny historyk, który pisać będzie kiedyś o zdziwieniu obyczajów i upadku moralnym ludu polskiego, niechże i na ten fakt zwróci uwagę.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 16 lipca.

Wakacje polityczne zaczęły się na dobre, członkowie parlamentów wyjechali na letnie mieszkania, monarchowie zaś i dyplomaci — do wód; wkrótce natomiast rozpoczyna się już zjazd. Spotkanie się trzech cesarzów, o którym donosiliśmy poprzednio, niewiadomo czy przyjdzie do skutku, pewnem jest tylko, że zobaczą się władcy Austrii i Niemiec, jeżeli zdrowie pozwoli cesarzowi Wilhelmowi przybyć do Gasteinu. Obecnie bawi on w Ems, i czuje się nie bardzo dobrze, do czego prawdopodobnie przyczynił się przestach, ponieważ podczas przejażdżki jakiś waryat rzucił pod konie garnek napelniony ziemią.

Regentem Brunświku ma zostać książę Henryk Reuss, teraźniejszy ambasador niemiecki w Wiedniu. Dla uniknięcia podobnych kłopotów w przyszłości książę Bismark przygotował projekt do prawa, na mocy którego księżęta należący do dynastji obcych nie będą mogli dziedziczyć żadnego tronu w Niemczech. Bezpośrednio prawo to dotknie księcia edyńskiego, który jest domniemanym następcą stryja swego księcia Saks-Koburg-Gota.

Dokonawszy wygnania polaków, rząd pruski nie chce zasnąć na laurach i sięga po świeże tryumfy: ze Szlaska mają być wydalenii poddani austriacy, przeważnie czesi, jest to nowy dowód sąsiedzkiego porozumienia i przyjaźni.

Inaczej nieco objawia swą sympatyę rząd austriacki, zawierając z Rosją umowę o wzajemne wydawanie włóczęgów i osób nie posiadających paszportów. Niektóre dzienniki galicyjskie wyraziły obawę, że takie szerokie określenie łatwo dać może powód do nadużyć. Puszczyki stańczykowskie starają się głos ten zagłuszyć, twierdząc, że nie trzeba dawać okazji do podejrzeń i sprzeciwiać się rządowi, „który jest zycielwie dla kraju usposobiony.”

Polityka francuska w Azji przybiera znowu niepomyślny obrót. Zaledwie generał głównie dowodzący Courcy przybył do Hue, stolicy Anamu, wybuchło tam powstanie. Francuzi zdążyli opanować cytadelę, a kiedy przybyły posiłki — wyprzeć nawet wojsko anamskie z miasta; ale z powstańcami uciekli i król, pozostawiając zwycięzcom swój pałac. Zabraną łup oceniają na 5 milionów franków, ładna to suma, ale nie opłaci ona kosztów nowej wojny. Dowódca francuski nie może działać energicznie, bowiem posiada bardzo niewiele wojska, gdyż większa część korpusu ekspedycyjnego pilnować musi Tonkinu i ucierać się z powstańcami w Kambodży. Trzeba więc będzie wysłać nowe posiłki, i prowadzić nową wojnę, co dla rządu, zwłaszcza w przededniu wyborów — nie jest wcale przyjemnem. Na domiar złego chińczycy mogą znowu wmieszać się do tej sprawy.

Niepomyślnie wieści nadechodzą również z Madagaskaru, co bardziej jeszcze zniechę-

ca naród do polityki kolonialnej, która wymaga tylu ofiar i na razie nie opłaca się zgola.

Przeciwnie anglikom los uśmiechnął się bardzo przyjaźnie, jeżeli się okaże, że wiadomość o śmierci mahdiego jest prawdziwą.

Nowy gabinet brytański nie wypowiada dotychczas wyraźnie, w jakim kierunku poprowadzi rokowania z Rosją, zawieszono teraz, a nawet czy zamysła je wznowić. Niektóre gazety donoszą, że uzbrojenia nie zostały przerwane, owszem postępują dalej. Rozumie się, jest to gra w straszaka, na której poznała się nawet Turcja i odstąpiła od uzbrojenia Dardanellów, ponieważ, jak powiada, uważa wojnę Anglii z Rosją za niemożliwą i nieprawdopodobną.

Jednostajność posiedzeń parlamentu, który troskliwie unika poruszania spraw drażliwych, mogących doprowadzić do nowego przesilenia ministeryalnego, naruszył Bradlaugh, oświadczając po raz nie wiem już który, że gotów jest złożyć zwykłą przysięgę, chociaż nie uznaje jej świętości. Żądanie jego odrzucono i deputowany Northamptonu zajął miejsce w izbie gmin, ale bez prawa głosu. W porównaniu z poprzedniami awanturami zawsze to postęp, wolno mu już teraz siedzieć, niedługo może pozwoli mu przemówić.

W ostatnich dniach narobił wielkiego hałasu wniesiony do parlamentu bil o zepsuciu obyczajów, uwodzeniu dziewcząt i domach publicznych. Pod maską przyzwoitości i moralności życie angielskie kryje wiele brudów i występków. Gabinet życzy sobie, aby bil został odroczony, przeciw temu wystąpił organ radykałów *Pall-Mall-Gazette*, który rozwinął olbrzymią agitację. Redakcja utworzyła tajemny komitet śledczy, który dokładnie zbadał sprawę, zebrane przezeń dokumenty gazeta drukuje, nie ukrywając nazwisk. Okazuje się, że wielka ilość dygnitarzy i lordów zamieszana jest w najhaniebniejszych wykroczeniach. Dziennik bije podwójną liczbę egzemplarzy, opinia publiczna nadzwyczaj jest poruszona. Najwyższy dostojnik duchowny w Anglii arcybiskup Canterbury przechyla się w danym wypadku na stronę radykalnych oskarżycieli. Sfery arystokratyczne są mocno oburzone, w klubach ciągle odbywają się narady, ale opinia publiczna oświadcza się wyraźnie za szczegółowem zbadaniem sprawy i jak najprędzem jej rozwiązaniem.

Rozruchy robotnicze powtórzyły się w Bernie, z powodu aresztowania dwóch agitatorów socyalistycznych, których tłum obbił z rąk policyi.

Cholera w Hiszpanii wzmaga się ciągle. Liczba ofiar dochodzi już do 20,000.

CUDZE GŁOSY.

Akt ostatni. Czytelnicy nasi pamiętają zapewne przebieg sprawy posła Kozłowskiego, oskarżonego o udział w „stulębnem,” inaczej „schweigsgeldzie,” rozdawanym przez przedsiębiorstwo kolei Transwersalnej. Zaznaczaliśmy głównejsze akty w tym procesie; obecnie zapisujemy nowy i zdaje się ostatni. Komisya Izby poselskiej, wyznaczona dla zbadania zarzutów, orzekła niewinność p. Kozłowskiego. Świato ogłoszony wyrok, rozlewałszy istotę oskarżenia, zwłaszcza zaś wyjaśniwszy ważność niekorzystnie tłumaczonego listu (którym Landerbank ofiarował p. Kozłowskiemu wynagrodzenie) taką kończy się sentencją:

„Otóż okazuje się, że wywołane przez lwowskie zgromadzenie wyborców i przez odnośne sprawozdania dziennikarskie przypuszczenie, jakoby posłowie Kozłowskiemu ze względu na jego działalność poselską, zapewniono udział pieniężny, nie jest uzasadnionem.”

Komisja też przedstawia Izbie następujący wniosek:

„Zważywszy, że w sprawdzonym za pomocą aktów sądowych faktycznym stanie rzeczy, nie znajduje się takiego, co by mogło dopuścić do mniemania, jakoby poseł Kozłowski za swą polityczną działalność wogóle, a w szczególności za swe współdziałanie w przyjęciu do skutku ustawy z 28 grudnia 1881 r. pozwolił sobie ze strony Banku dla krajów przybiegać do pieniędzy; zważywszy dalej, że przez to załatwiono wyczerpujące zbadanie tych faktów, o ile one publicznego interesu dotyczyły i złożono z nich sprawozdanie, wysoka Izba przyjmuje to sprawozdanie do wiadomości.”

Sześciu członków komisji zapowiedziało wotum mniejszości. Że wyrok ten zmywa z jednego przedstawiciela Galicji błoto stuligębnego niesłusznie nań rozmazane — to nas bardzo cieszy.

PRASA ROSYJSKA.

Grażdanin, którego uwagi w przedmiocie wygnania Polaków z Prus podaliśmy również na innym miejscu, pisze:

„Trzebaż koniecznie okazać jakieś moralne poparcie wyganianym na cztery wiatry poddanym rosyjskim. Być może i tak być musi zapewne, że wielu z nich okaże się bez paszportu; ale czyż to sprawa tak wielkiej wagi? Rzecz główna, aby to nie byli przestępcy, aby to nie byli zbiegowie w całym znaczeniu tego wyrazu. Tym więc, którzy tylko przepisy paszportowe naruszali, można by umorzyć zaległe opłaty itp. Można by też posłać na miejsce jakiego prywatnego agenta, aby zapoznał się z istotnym położeniem i okazał możliwą pomoc wydalonym. W przeszłym tygodniu wyjechał z Berlina dla objazdu tych okolic dyrektor departamentu ministerium spraw wewnętrznych wraz ze swym pomocnikiem. Gdy więc rząd pruski mógł delegować dla dopilnowania tej sprawy dwóch tajnych radców, toż byłoby rzeczą rozumną i ludzką i z naszej strony wysłać kogoś dla okazania pomocy wypędzonej ludności! Rosya ma sposobność obecnie poznać światu, że jest matką, a nie macochą, jak Prusy, względem Polaków, chociaż ci nie wyznają religii panującej.”

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wystawa pedagogiczna urządzona ma być niedługo w Warszawie przez jednego z nauczycieli prywatnych.

Instytut technologiczny w Charkowie. W r. b. otwarty będzie tylko pierwszy kurs, na którym znajdować się może 125 studentów. Kandydaci powinni podać prośby przed 24 sierpnia, i dołączyć świadectwa z ukończenia szkoły realnej lub gimnazjum. Jeżeli liczba kandydatów przewyższy ustanowioną normę 125, zarząd Instytutu wyznaczy egzamin konkursowy z matematyki i języka rosyjskiego, w zakresie kursu gimnazjalnego.

Podwyższona akcyza od piwa, liczy się już od 13 lipca r. b.

Nowa moneta złota i srebrna, z portretem panującego cesarza ukaże się w jesieni.

Agencja. Redakcja *Inżynierji i Budownictwa* otwiera agencję wyrobów rzemieślniczo-przemysłowych, która pozwoli kupującym większe partie, nabywać potrzebne im przedmioty z pierwszej ręki.

Plagiat. Komedya Bałuckiego *Grube ryby* w przeróbce na język rosyjski ukazała się na scenie jednego z teatrów petersburskich p. t. *Dienieżnyje tuzy*. Tłomacz nie podaje nazwiska autora i wydaje swój przekład za utwór oryginalny.

Mapa geologiczna. Departament górniczy polecił inżynierom Łempickiemu i Gutowskiemu opracować kartę geologiczną południowo-zachodniej części Królestwa.

Konkurs. Wydział krajowy galicyjski ogłasza konkurs na napisanie dwóch podręczników do nauki rolnictwa i chowu bydła w średnich szkołach rolniczych. Prace powinny mieć od 25 do 30 arkuszy druku. Nagroda wynosi 500 złr. za dzieło. Termin dla nadsyłania rękopisów — 1 stycznia 1886 r.

Szkoła techniczna w Krakowie ma być zamieniona na wyższą szkołę przemysłową, z trzema wydziałami: mechanicznym, chemiczno-technicznym i budownictwa.

Ważne rusińskie. Narodowy rusiński w Galicji za pośrednictwem prof. Ogonowskiego wystąpił do rządu ze skargą, że *Wiestnik zakonow dzierzawnych* (Zbiór praw) wydawany w Wiedniu pod redakcją pośła Kowalskiego posługuje się językiem rosyjskim nie zaś rusińskim. Świętojurcy z tego powodu oskarżają ukraińców o zdradę ideał narodowej, ci ostatni zaś tłumaczą się, że uczynili to, broniąc lud od polonizacyi, ponieważ włościanie nie rozumieli wcale *Wiestnika* i dla tego zawsze czytali *Zbiór praw* po polsku.

Irlandczycy obchodzili uroczyste ustąpienie lorda Spencera z urzędu wice-króla. Podczas manifestacyi spalono portret znienawidzonego dostojnika na stole.

Poczty i telegrafy. Zamiast istniejących czterech zarządów pocztowych w królestwie ustanowione będą dwa okręgi pocztowo-telegraficzne: warszawski i lubelski.

Kat z Warszawy. Gazety rosyjskie donoszą, że dla powieszenia Lilińskiego sprowadzono do Charkowa kata z Warszawy.

Zamek Sobieskiego przeszedł na własność miasta Żółkwi za 100,000 guldenów.

Emigracja. W maju r. b. z portów niemieckich odpłynęło do Ameryki 18,835 osób, w tej liczbie z Prus 12,926, a mianowicie z Prus zachodnich 1,911 i z Poznańskiego 1,689.

Zjazd archeologiczny rusińsko-polski odbędzie się we Lwowie w pierwszych dniach września.

Powódź. Wisła wylała gwałtownie w okolicach Krakowa, obecnie jednak woda już spada i miejscowości nadbrzeżnym w królestwie niebezpieczeństwo nie grozi.

Dr. Piotr Chmielowski napisał studjum o Mickiewiczu. Praca ta, zawierająca około 50 arkuszy nie długo wyjdzie z druku.

Bibliografia. Wiśniewski. *Atlasik kieszonkowy*. Mała książeczka należy do wydawnictwa gier i zabawek pedagogicznych, ale dla nauki dzieci nie

może mieć znaczenia. Przydałaby się jednak sprawozdawcom dziennikarskim, bo taka nawet miniaturowa mapa przekonać ich może, że np. półwysep korejski zajmuje daleko więcej aniżeli 4,000 mil kwadratowych, jak to za geografem z *Gazety warszawskiej* powtarzają inni.

Kulturkampf. Niektórzy rektorowie szkół poznańskich ukarali aresztem dzieci katolickie, biorące udział w procesji religijnej w święto Bożego ciała.

Samobójstwo. Kasyer główny Banku polskiego p. Stanisław Hertz usiłował pozbawić się życia. Śledztwo wykryło, że kasa znajduje się w porządku, przyczyna zaś samobójstwa były nieprzyjemności służbowe.

Zmarli. Józef Przygodzki, inżynier, gorliwy opiekun przemysłu domowego w Galicji.

— Palma, profesor uniwersytetu we Wrocławiu, badacz dziejów Śląska.

— Hieronim Feldmanowski, sekretarz Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu.

Odezw. Szanownym dobrodziejom i byłym członkom Towarzystwa *Literacko-Słowińskiego* przy Uniwersytecie Wrocławskim, jako też szerszej publiczności polskiej przypominamy, iż Towarzystwo nasze obchodzić będzie latem roku przyszłego 50-letni jubileusz istnienia swego.

Długoletnie działanie i zasługi Towarzystwa położono około wykształcenia i skupienia polskiej młodzieży akademickiej w Wrocławiu na polu nauki i poznania rzeczy swojskich wymagają, byśmy uroczystość tę godnie i zgodnie z zadaniem i tendencją Towarzystwa święcili. Tą myślą powodowani zamierzamy wydać książkę jubileuszową, obejmującą kilka rozpraw członków i historyę Towarzystwa (t. j. pamiętnik z r. 1869 i kontynuacya). Ponieważ atoli rzecz ta wymaga czasu i nakładu, udajemy się już teraz do Szanownych Dobrodziejów i byłych członków Towarzystwa z prośbą o radę i pomoc.

Prezes: Hipolit Nowicki, stud. fil. Sekretarz: Józef Rudzki, stud. med. Wäldchen 4. Rosenthalerstr 17.

OFIARY.

Na pogorzelców Grodna. S. kop. 20, K. bierski z Mińska gub. rs. 4, Beziemiennie rs. 3, S. W. z Kijowa kop. 20, Szawelski z Mławy rs. 1, Małcurzyński rs. 3, Zieliński z Niemiec kop. 50, Czytelnik *Prawdy* rs. 6, M. Janiszewski z Czyhiryna rs. 7.

O g ł o s z e n i a.

Wyszedł z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

Wielki Atlas Zoologii, Botaniki i Mineralogii

D-ra G. Haycka i D-ra J. Baranowskiego

zawierający: 72 tablice zoolog. z 845 kolor. figurami; 40 tablice botanicznych z 445 kolor. fig., i 8 tablice mineral. z 71 figurami.

3—3

Cena zeszytu kop. 60.

Wydawca H. Olawski.

Lakierzy i Farby

polecają Zakłady Przemysłowo-Chemiczne
W. KARPIŃSKI & W. LEPPERT

w Warszawie, Elektoralna 33
Cenniki franco i gratis. 8—12

SPÓŁKA NAKŁADOWA.

poleca następujące wydawnictwa swoje:
Jerzy Brandes: Główny prąd literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Świąteczko. książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzy polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tokcie rs. 1 kop. 80

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze Spółki (Zielna 7-A) kosztów przesyłki nie ponoszą.

Prenumeratory „PRAWDY” otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.